Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 6,66 zł w tym 8% VAT NR 47 (1731) 24–30 listopada 2023

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Wielki imperator Wojtyła

str. 9

Pozywając papieża

str. 11

EINSTEIN POLSKIEJ EDUKACJI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223300 47

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 2147609d46

RĄBANKA POWYBORCZA

Sondaż partyjny mamy jeden: Social Changes dla braci Karnowskich. I biorąc pod uwagę zamawiającego, jego wyniki są dość zaskakujące: PiS z 33 proc. prawie zrównuje się z PO, która ma 32 proc. Trzecia Droga razem ma 14 proc. poparcia, a Lewica i Konfederacja po 9 proc. Jeśli chodzi o to, co ma robić nowy rząd, zdania są podzielone. Np. w sprawie TVP: za likwidacją jest 34 proc., przeciw – 56 proc. Zakaz handlu w niedzielę – 42 proc. jest za zostawieniem, 20,4 proc. – za pełnym zniesieniem, a 30 proc. chce jednej niedzieli handlowej w miesiącu. CPK: 51 proc. za budową, 40 proc. – przeciw. Na pytanie, gdzie szukać oszczędności, rodacy odpowiedzieli dość naiwnie, że w rządzie: 66 proc. jest za zredukowaniem liczby wiceministrów i pełnomocników, 61 proc. – za zmniejszeniem liczby ministerstw, 55 proc. – za obniżką pensji ministrów. Zaledwie 12,3 proc. Polaków proponuje ograniczenie wydatków na zbrojenia, co rzeczywiście mogłoby wpłynąć na budżet.

Odbyła się druga część pierwszego posiedzenia sejmu. Przed posiedzeniem marszałek Hołownia wygłosił krotochwilny monolog: „Kiedy myślę o panu premierze Morawieckim, to przypomina mi się fenomen kota Schrödingera, znany z badań psychologicznych, ale nie tylko. Przypomnijmy: był to taki kot, który jednocześnie był w pudełku, ale był też poza pudełkiem. Mamy do czynienia z premierem Schrödingera"… Tak dla porządku: kot Schrödingera to eksperyment myślowy z zakresu fizyki kwantowej – nie psychologii – a kot nie jest „w pudełku i poza", tylko żywy i martwy. Apelujemy do marszałka Hołowni, żeby staranniej przygotowywał swoje anegdoty, bo PiS zaraz ogłosi, że wzywa do zabójstwa Mateusza Morawieckiego.

Który skądinąd rzeczywiście dokonuje ekwilibrystyki godnej kota. Najnowsza wersja trzeciego rządu Morawieckiego jest taka, że nie będzie to „trzecia kadencja Prawa i Sprawiedliwości", tylko „pierwsza kadencja Koalicji Polskich Spraw", realizowana przez „rząd ponadpartyjny, może nawet pozapartyjny", który będzie wcielać w życie to, co najlepsze w programie władzy i opozycji po równo. Teraz Morawiecki rozesłał do poszczególnych partii opozycji pisma z zaproszeniami na spotkanie w kancelarii w tej sprawie i nawet pozwolił im powybierać sobie terminy. Wieść gminna głosi, że jest sporo wolnych.

W odróżnieniu od Morawieckiego, który ma misję, ale nie ma rządu, Tusk mimo braku misji ma już ponoć rząd. Niestety, lista nazwisk wygląda bardziej jak partyjne *who is who* niż jak Rada Ministrów ułożona wedle kompetencji. Barbara Nowacka chciała wziąć sprawy zagraniczne, ale obiecali je Sikorskiemu, więc zostanie ministrem oświaty. Ma doświadczenie w edukacji, bo była kanclerzem prywatnej uczelni należącej do tatusia. Bartłomiej Sienkiewicz zostanie ministrem kultury, w końcu jest prawnukiem noblisty. Sławomir Nitras będzie ministrem sportu, bo lubi haratać w gałę. Borys Budka musi coś dostać za to, że ustąpił Donaldowi partię, ale sprawiedliwość Tusk obiecał Bodnarowi, więc Budka przymierzał się do MSW, a wyląduje chyba w aktywach państwowych. Izabela Leszczyna, która zna się na wszystkim, może zostać ministrem zdrowia, bo Arłukowicz nie chce, a od finansów będzie ulubiony makler przewodniczącego Andrzej Domański.

„Junior partnerzy" nie wyrwali za wiele. Kosiniak-Kamysz ma zostać ministrem obrony, co jest oryginalnym pomysłem dla doktora medycyny, ale może w dzieciństwie lubił się bawić żołnierzykami. Krzysztof Gawkowski, doktor politologii i autor trzech kryminałów, zostanie ministrem cyfryzacji, bo dużo pracuje na komputerze. Michał Kobosko, były naczelny „Newsweeka", będzie ministrem funduszy i polityki regionalnej, zgodnie z dziennikarską maksymą „wiem, bo pisałem". Z dobrych wiadomości: PSL obejmie resort rolnictwa, a Lewica – pracy i spraw społecznych. Jeszcze lepsza: wszystkie partie koalicyjne zapewniają, że Roman Giertych nie zostanie prokuratorem generalnym. Nudzić się jednak nie będzie, albowiem Donald Tusk obiecał powołać z marszu trzy komisje śledcze: do wyborów kopertowych, afery wizowej i Pegasusa. Obstawiamy, że mecenas G. będzie chciał trafić do tej trzeciej, choć mianowanie poszkodowanego prokuratorem nie jest może najlepszym pomysłem.

Sejm zajmował się głównie rozdziałem funkcji dodatkowo płatnych: stanowiska przewodniczących, a także wiceprzewodniczących komisji zostały rozdysponowane, choć nie do końca. PiS, jak słyszymy, trzyma wakaty w prezydiach wszystkich komisji, bo zaraz się zacznie deszcz byłych ministrów. Wybrano także czterech sejmowych członków neo-KRS, która dzięki temu rozpoczęła powolne przepoczwarzanie w zwykłą KRS. Nowi członkowie reprezentują wyłącznie dawną opozycję. Są wśród nich: jeden doktor nauk prawnych (Robert Kropiwnicki), dwie magistry prawa (Kamila Gasiuk-Pihowicz i Anna Maria Żukowska) oraz sprawozdawca sportowy Tomasz Zimoch, który gdzieś w latach 80. skończył prawo i zrobił aplikację sędziowską.

W sprawach niepersonalnych najnowszym przebojem sejmowym okazały się szeroko pojęte prawa reprodukcyjne. Nowa władza obiecała przywrócić finansowanie in vitro w oparciu o projekt obywatelski. Zaskakująco wniosek znajduje niejakie poparcie także w PiS, a min. Mastalerek zapowiedział w imieniu prezydenta, że weta raczej nie będzie, bo to „delikatna sprawa dotycząca dzieci". Prawica przeszła daleką drogę od „krzyku mrożonych zygot". Drugi temat to oczywiście aborcja i tu postępu nie ma. Minister zdrowia nazwiskiem Sójka ogłosiła, że postulaty lewicy to „wulgarne rozmowy o tym, że aborcja jest przyjemnością". Lewica złożyła dwa projekty: legalizacji do 12. tygodnia ciąży i – osobno – dekryminalizacji. Do tego ostatniego zgłosiła autopoprawkę, co spowodowało, że proces konsultacji zaczął się na nowo. Może jednak było dość czasu, żeby go dopracować przez ostatnie cztery lata?

Z URNY URBANA

Wraz z perspektywą odsunięcia PiS od władzy powraca temat lekcji religii w szkole, a ściślej – ich likwidacji. Przypominamy dziś, co pisał na ten temat Urban w felietonie z listopada 2015 r., gdy PiS dopiero obejmował władzę.

Jak grillować księdza

Adam Michnik pisze, że pod Kaczyńskim będzie nam jak Rosjanom pod Putinem. Szkoda mydła „Wyborczej" na nasze oczy. W porównaniu z prezesem PiS władca Rosji okaże się dobrotliwym demokratą, liberałem, pokojowym cieniasem. Nie znaczy to, że czekająca nas dyktatura Kaczyńskiego pozbawiona będzie zalet. Ich przykładem religia na maturze i nowy program szkolny, sprawiedliwie podzielony pół na pół na katechezę i przedmioty świeckie.

Wciskanie religii doprowadzi do szybkiej ateizacji Polski, bo teraz odbożanie wlecze się i skrzywia. Pedofilia części kleru, jego obłuda, chciwość władzy i pieniędzy oraz arogancja tylko zniechęcają katolików do kościelnej korporacji. Narasta wobec tego niewiara w potrzebę istnienia pośredników między człowiekiem a Bogiem, ale niekoniecznie narusza to stosunki z absolutem. Z katolicyzmem konkurują zaś inne równoprawne rozumnością wiary, np. w horoskopy, przebiegające jezdnię koty, pukanie w niemalowane, we wróżby, pechową trzynastkę, ekonomię Balcerowicza, amulety, jogę, bieganie i zbawienność jeżdżenia na rowerze. Szkolne lekcje religii zamienić więc można i trzeba w rozrywkę umysłową, zadając katechecie proste pytania. Nie wolno tylko dać się zbyć gotowymi formułkami, których każda religia ma nieograniczone zasoby. Przykłady pytań:

– Dlaczego Bóg Ojciec, pragnąc mieć Syna, nie tchnął osobiście ducha w Ziemiankę wybraną na Matkę Bożą? Powierzył zaś to intymne zadanie wspólnikowi – Duchowi Świętemu, a ten nonszalancko wysłał do Maryi asystenta – archanioła powodującego ciążę przez nawiedzenie?

– Kiedy katolik się żegna, to z której strony najpierw dotyka siebie, dochodząc do Ducha Świętego? I dlaczego leci od lewej do prawej?

– Czy nie było przedwczesnym efekciarstwem chodzenie Jezusa ponad taflą jeziora i pokazywanie przez to, że jego nie dotyczą grawitacja i prawo Archimedesa? Przecież widownia jeszcze nie znała tych pojęć.

– Czemu ów Jezus zamieniał wodę w wino, a nie na odwrót, mimo że nawodnienie było głównym problemem terytoriów, na których operował?

– Dlaczego ciałem bożym jest glutenowe ciasto, a nie coś zdrowszego, np. marchewka? Przy czym w odróżnieniu od kobiety marchewkę wolno skrobać.

Każda klasa szkolna na każdą lekcję religii może przygotować tyle pytań, ile trzeba, żeby katecheta zwariował. Będzie miała też wzięcie internetowa giełda takich pytań. Potem trafią one wszystkie do chmury wiszącej nad Kościołem.

Można i trzeba także przygotować katechecie lub katechetce dylematy moralne do rozstrzygnięcia. Łatwo je znaleźć m.in. w literaturze faktu dotyczącej nazizmu, okupacji i Żydów.

Bardzo pobożny Żyd nazwiskiem Rumkowski stał na czele getta w Łodzi. On wierzył w to, że Niemcy nie wymordują Żydów, jeśli ci będą dobrze pracować dla okupantów. Gdy większość zabito, przekonywał, iż najlepiej pracująca mniejszość jednak ocaleje. Wtedy Niemcy zażądali wydania im do zabicia dzieci pracujących rodziców, jako że są one istotami bezproduktywnie żrącymi. Rumkowski ogłosił więc apel, żeby rodzice oddali na śmierć swoje dzieci, to się sami uratują. I większość go posłuchała. Zapytajmy więc katechetę, czy Rumkowski postąpił moralnie, pragnąc ratować rodziców kosztem dzieci? Dodać warto, że gdyby rodzice naprawdę przeżyli, mogliby sobie wtedy zrobić nowe dzieci.

Jeśli katecheta orzeknie, że nie jest moralne ratowanie swojego życia kosztem cudzego, należy mu uświadomić, że tak właśnie postępują nagminnie żołnierze na froncie.

Żeby już nie babrać się w Żydach, można wymyślić dla katechety współczesne dylematy moralne katolika. Np. dziewczyna wyskrobuje dziecko w przekonaniu, że gdyby urodziła, odszedłby od niej chłopiec, który je spłodził. Ten, będąc zapalonym katolikiem, porzuca jednak „morderczynię" dla innej dziewczyny, lżej grzesznej, która unika aborcji, gdyż bierze środki przeciwciążowe.

Czy moralność katolika pochwala taki wybór mniejszego zła będącego świństwem wobec wyskrobanej z miłości?

Księże katecheto! Radziecki pisarz Zoszczenko w tomie opowiadań o dzieciątku Lenin pisze, że mały Wołodia Iljicz biegał z innymi dziećmi wokół stołu i stłukł karafkę, po czym się do tego przyznał. Ładnie? Czy byłoby też ładnie, gdyby mini-Lenin skłamał, że stłukł karafkę, chcąc kryć kolegę, prawdziwego winowajcę? Jeszcze ładniej, choć skłamał? Ale, ale, to już Kościół nie ceni prawdy, więc może wcale jej nie głosi?

Zoszczenko zmyślał, budując opowiastki o Leninie, ale pisarzowi Kościół pozwala kłamać, jak i cnotliwej aktorce udawać na scenie kurwę. (Dziś mniema się jednak, że Zoszczenko, pisząc budujące historie o Leninie, subtelnie drwił z kultu wodza).

Czy Kościół dostrzega aktualność moralnej względności mówienia prawdy, skoro nadchodzi Ziobro?

Przeciętni polscy katolicy wymagają od Kościoła tego tylko, żeby księża nie byli ostentacyjnymi pedałami, a także aby nie jebali dzieci. A gdyby tak zmienić wymagania? Oczekiwać od klechów myślenia? Wtedy nastąpiłaby prawdziwa i szybka ateizacja, a bezmyślna większość kleru prowadziłaby ubogą w datki, wsobną egzystencję klepaczy paciorków.

URBAN

PRASA ŚNIADANIOWA

Z okazji Dnia Ubogich **papież Franciszek** zjadł obiad z potrzebującymi. W geście solidarności powinien nie zjeść.

Fundacji Rydzyka ubyła ponad połowa wspierających podatkiem. Gdzie jest modlitwa o podniesienie wieku emerytalnego, gdy człowiek jej potrzebuje?

Andrzej Duda powiedział, że Donald Tusk nie będzie jego premierem. Andrzejku, jedz, nie grymaś.

Pierwsza dama spotkała się z dziećmi, które urodziły się jako wcześniaki. Dzieci urodzone po terminie jak zwykle miały więcej szczęścia.

Kurator Barbara Nowak powiedziała, że w państwie PiS nie było zamykania do więzień i zabijania tych, którzy się nie podporządkują. Czyli niedociągnięcia były.

MARTA M.

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

Rys. TOMASZ WIATER

No i dokąd teraz pójdą pracować ci wszyscy ludzie z TVP?

TRYBUNA LUDZI

Facebook

Maciej Dadej: Tylko w ściekach wakaty widzę.

Agnieszka Dąbrowska: Przygarnijcie.

Beata Staszak: Nigdzie, zostaną tam, gdzie są, i będą się snuć po korytarzach jak duchy, które nie zdają sobie sprawy, że nie żyją.

Anna Maria Pantera: Do Radia Erewań.

Daniel Len: A co bywa z gównem? Wpada z szamba do oczyszczalni…

Patryk Dąbrowski: Będą stand-uperami i wychodząc na scenę, nie będą nic robić, a ludzie i tak będą się z nich śmiać przez cały występ.

Kacper Stopczyński: Do więzienia.

Wieslawa Kaczmarek: Korea.

Barbara Lodczyk: San Eskobar wita.

Kika Krol: Będą szkolić dziennikarzy i prezenterów u ziemniaczanego króla za granicą.

Michał Okła: Przejdą DoRzeczy i będą działać wSieci, żeby w Polsce nie doszło do anihilacji.

Ewa Krajewska: Mają tyle kasy, że nie muszą przez jakiś czas, dopóki ludzie nie zapomną o nich.

Maciej Dadej: Redagowanie kazań wskazane.

Marcin Szulc: Części, tej widocznej, bym nie zwalniał. Niech Holecka i inni teraz przekazują wiadomości o tym, że PiS kradł, Ziobro idzie siedzieć za wały i tak dalej. Inaczej ludzie nie uwierzą.

Mell Mellesleg: To oni do tej pory pracowali?

Forum

Ośka QqRydz-Qqć: TV Trwam. To dobre miejsce na przetrwanie.

eprasa.pl 2147609d46

Łapówki chwilowo wstrzymane

PiS szykowało jeszcze jeden skok na kasę, ale po wyborach odpuściło.

Dawno nie było większych przekrętów w resorcie zdrowia. Trefne maseczki poszły w zapomnienie. Afera respiratorowa się rozmyła. Kilka tygodni temu NIK wysmarowała raport o milionach złotych puszczonych do krewnych i przyjaciół Zjednoczonej Prawicy przy okazji pandemicznych szpitali tymczasowych i też nikt na to nie zwrócił większej uwagi.

Mając poczucie zupełnej bezkarności, kilku gości z Ministerstwa Zdrowia wpadło wczesną wiosną na genialny pomysł poszerzenia kręgu firm, które mogłyby dawać łapówki. Wymyślono tzw. dużą nowelizację ustawy refundacyjnej.

Łzy farmaceutów

Ruszała kampania wyborcza, więc poza zainteresowanymi nikt się pomysłem nie zaciekawił. Rząd sprzedawał zatem nowelizację hasłami, że nowe przepisy uregulują rynek refundowanych leków, środków spożywczych specjalnego przeznaczenia żywieniowego oraz wyrobów medycznych. Podkreślano, że nowa ustawa zrobi dobrze farmaceutom i aptekarzom przez podwyższenie marży hurtowej i zmian marży aptecznej oraz podniesienie podstawy limitu finansowania. No i zapewni bezpłatne leki kobietom w połogu. A przy okazji ukróci niegospodarność, bo lekarz będzie mógł przepisać pacjentowi lek na maksymalnie 180 dni, jednak na pojedynczej recepcie będzie mogła znaleźć się ilość leku niezbędna do stosowania najwyżej przez 120 dni.

Resort najmniej mówił o jedynym rewolucyjnym założeniu nowelizacji: wprowadzeniu przepisu umożliwiającego ministrowi zdrowia obejmowanie refundacją i regulowanie cen leków dostępnych bez recepty. Takie leki noszą nazwę OTC. Za wprowadzeniem takiej zmiany było – jak doniosły nam źródła w ministerstwie – kilka firm farmaceutycznych. Najzabawniejsze jednak, że żadna się do tego nie przyznawała i nie przyzna. Ba, środowiska aptekarskie i producenci farmaceutyków na pomyśle oficjalnie nie zostawili suchej nitki.

Związek Przedsiębiorców i Pracodawców załkał, że procedura związana z refundacją OTC wiąże się z ustaleniem ceny urzędowej, niższej niż obowiązująca rynkowa, co wpłynie na zmniejszenie opłacalności produkcji leków w Polsce. Producenci płakali, że w efekcie wprowadzenia refundacji produkcja leków OTC stałaby się całkowicie nierentowna, a rynek krajowy zostałby w pełni zdominowany przez najtańszy produkt oparty na tej samej substancji „najpewniej pochodzenia azjatyckiego", co nie gwarantowałoby bezpieczeństwa lekowego w Polsce. W tym przypadku lepsze było – zdaniem ZPiP – zachowanie konkurencji na rynku w obszarze leków OTC i nieregulowanie ich cen. Bo wszak zaprzestanie produkcji leków bez recepty przez krajowych producentów „może wpłynąć na obniżenie rentowności przedsiębiorstw i zwolnienia pracowników krajowej branży farmaceutycznej".

Koperty już czekają

Piarowcy koncernów lekowych wiedzieli, że w komunikatach mogą wpisać największe bzdury, bo politycy obiecali im, że wszystkie pomysły z nowelizacji przejdą i tak. Znajomi z branży farmaceutycznej wytłumaczyli mi, że koncerny musiały protestować, żeby nie padło na nie podejrzenie, że na tym pomyśle zarobią krocie. A zarobią dlatego, że dziś marże na większości leków wynoszą niemal 100 procent. Leki OTC są drogie, ale żadnej z firm produkujących to samo nie chce się wypuszczać leku taniej, bo popsułoby to rynek. Jeśli jednak rząd zrobi refundację, czyli dołoży ludziom 70 proc. z NFZ, to nawet gdy producentom obniży pełną cenę o jedną trzecią, to dzięki obniżce cen dla pacjenta dany produkt będzie się sprzedawał dużo lepiej. Oczywiście fachowcy powiedzieli to z zastrzeżeniem pełnej anonimowości. A na ucho dodali jeszcze, że już kilka dni po podpisaniu przez prezydenta ustawy do właściwych urzędników zaczęły się ustawiać kolejki chcących przyśpieszyć wpisanie ich wyrobów na listę refundacyjną.

Ciekawostką jest i to, że leki OTC są reklamowane. Reklama leków refundowanych, czyli receptowych, jest natomiast zakazana. Czy lek OTC lub jego odpowiednik, które będą refundowane, będą mogły być reklamowane czy nie? Czy nadal będzie możliwa ich sprzedaż przez internet czy nie? Przepis wprowadzony do ustawy refundacyjnej nic o tym nie mówi.

Erekcja elekcyjna

Na refundowanie przez państwo leków, na które nie trzeba recepty, wściekli się lekarze i firmy wystawiające receptę przez telefon, czyli tzw. receptomaty. Tak się bowiem składa, że do tej pory zdecydowana większość bezreceptowych specyfików OTC miała swoje odpowiedniki na receptę. Z tym, że te na płatną w stu procentach receptę i tak były dużo tańsze. Wymagały jednak zapłacenia za teleporadę od 30 zł wzwyż lub pofatygowania się do lekarza. Za którą to wizytę pacjent płacił sam albo za pośrednictwem NFZ.

Dobrym przykładem na rozstrzał cen między specyfikami na receptę i OTC są środki na erekcję. 10 mg tadalafilu umożliwiającego wzwód przez 36 godzin bez recepty kosztuje ok. 12 zł. Jeśli się jednak ma receptę – i to bez żadnej refundacji – to za tę samą dawkę zapłaci się 2,70 zł. Podobnie z sildenafilem, po którym facet jest gotów na seks przez 4–5 godzin. Za OTC z 50 mg tego środka płaci się 6 zł, a mając receptę – 1,25 zł.

Skąd pomysł, by przykładem była chemia proerekcyjna? Bo rządząca Ministerstwem Zdrowia formacja, pewna zwycięstwa w wyborach parlamentarnych, szykowała się na elekcję samorządową, gdzie – aby przyciągnąć wiekowy elektorat męski – chciano wyskoczyć na wiosnę z tanimi środkami na potencję.

Naczelna Izba Lekarska wydała oświadczenie, że zamiast refundować OTC należy zacząć dopłacać do niemających refundacji leków na receptę, które leczą poważne choroby. „Aktualny koszt leków OTC nie stanowi bariery zakupowej dla pacjenta, w związku z powyższym nie wymaga dodatkowego finansowania ze strony państwa w przeciwieństwie do droższych terapii ordynowanych na receptę. Wykorzystanie środków budżetowych na refundację kolejnych leków na receptę np. w obszarze kardiologii czy endokrynologii przyniesie bardziej wymierne korzyści zdrowotne dla pacjenta" – napisali lekarze. Słusznie skądinąd, bo pacjenci z własnej kieszeni wydają na leki na receptę, które w Polsce nie są dziś refundowane, aż 9,53 mld zł, i to właśnie te leki trzeba dołączyć do systemu refundacji. Dokładnie tyle samo Polacy wydają rocznie na OTC.

Lekarzy nie słuchali jednak ani posłowie, ani prezydent. Ustawa weszła w życie, a większość jej przepisów zaczęła obowiązywać 1 listopada. I tu niespodzianka. Na liście refundacyjnej przygotowanej na listopad w Ministerstwie Zdrowia nie ma żadnego OTC.

Wiewiórki z resortu opowiadały, że to przez ministrę Katarzynę Sójkę. Najpierw czekała z decyzją do wyborów, a potem przestraszyła się, że jeśli coś wpisze, to za jakiś czas do jej mieszkania zapukają o świcie służby.

TADEUSZ JASIŃSKI

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Tabletki spod lady

Od lat zajmujemy ostatnie miejsce w „Atlasie antykoncepcyjnym" przygotowywanym przez Europejskie Forum Parlamentarne na rzecz Praw Seksualnych i Reprodukcyjnych. Wśród największych problemów jest brak refundacji antykoncepcji – wynika z raportu Fundacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny FEDERA.

To o refundacji to prawda i nieprawda zarazem. Bo faktycznie, żeby kupić tabletki antykoncepcyjne, trzeba najpierw pójść lub zadzwonić do lekarza, żeby dostać płatną w 100 proc. receptę. Pamiętajmy jednak, że wciąż żyjemy w świecie hipokryzji PiS.

Dzięki temu okazuje się, że coś, co nie jest refundowane, refundowane jednak jest pod warunkiem, że stanowi lek hormonalny dla kobiety. A każda pigułka antykoncepcyjna takim lekiem może być. Dlatego idąca do ginekologa po tabletki kobieta, jak trafi na mądrego lekarza, to płaci za nie 30 proc. ceny, a jak na obarczonego klauzulą sumienia, to albo nie dostanie recepty wcale, albo tę pełnopłatną. T.J.

Zawalił się nam na łeb krużganek oświaty

strzelnica odpustowa

Mam córkę. Córka chodzi do VII klasy podstawówki. Farbuje sobie włosy na różne kolory, co ponoć jest niezgodne z regulaminem szkoły. Osobiście nie widzę w tym nic zdrożnego. Różnokolorowe włosy i odzienie nadają radość przestrzeni. Polska jest zbyt szara. Ludzie chodzą w szarych lub czarnych spodniach, bluzach, kurtkach i paltach.

Ale wracając do szkoły. Z racji córki sprawa funkcjonowania edukacji nie jest mi obca. A nawet zasadniczo bliska. Zależy mi bowiem najbardziej w życiu na szczęściu dziecka i jego udanej przyszłości. Obie rzeczy w wielkiej mierze zależą ode mnie, ale i trochę od szkoły. Jeśli jest ona opresyjna, dziecko nie będzie szczęśliwe. Jeśli będzie kłaść nacisk na pamięciowe opanowanie masy niepotrzebnych wiadomości, które w epoce smartfonów i internetu każdy może sprawdzić w 30 sekund, to dziecko nie będzie ani szczęśliwe, ani mądrze wykształcone. Okres czarnkowizny w edukacji można nazwać okresem aberracji mentalnej i umysłowej oraz okresem wielkiej smuty. Nie ma co powtarzać. Ten diabelski cynik, hochsztapler, konformista, ciemnogrodzianin, lublinianin, intelektualny indolent powinien być strącony na dno upokorzenia.

• • •

Ale co się dzieje? Już zmierzam do właściwego brzegu. Jako ojciec zaglądam do Librusa, czyli na elektroniczną platformę, na której mogę podejrzeć nieobecności i je usprawiedliwić bez potrzeby pisania na kartce (mam daleko posuniętą dysgrafię i pisać ręcznie nie cierpię), zajrzeć do ocen (no, geografia leży, ale ponoć pani to emerytowany sierżant armii pruskiej Bismarcka), dowiedzieć się, czy jest kartkówka z polskiego i czy ze „Świtezianki", czy z „Balladyny" (kurdemol, czemu im dają do czytania te romantyczne ramoty? – ani to ciekawe, a w sferze ducha szkodliwe; brrrr!). Mogę też przeczytać różne wiadomości. I wczoraj takich wiadomości przeczytałem sześć. Sporo. Otóż uczniowie, okazuje się, mogą już zostawiać w klasie podręczniki do chemii, biologii, angielskiego i czego tam jeszcze albo trzymać swoje w domu, a w szkole korzystać ze szkolnych, które są na miejscu w klasie. Można? Można. A problem był nierozwiązywalny przez lata. Szkoła ma też w ramach eksperymentu zrezygnować z dzwonków. Mam mieszane uczucia. Pomysł dobry, ale czy jednak roztrzepańcy nie będą się spóźniać na lekcje? Reasumując jednak: można? Można.

Trzeba było wyborów i odsunięcia PiS od władzy? Serio?

• • •

I teraz zapodam coś kontrowersyjnego, za co mnie będą chcieli osadzić w jednoosobowym pokoju hotelowym dla NN w Sztumie. Otóż podstawowy postulatem nowej koalicji jest 30-procentowa podwyżka dla nauczycieli. Ja nie mówię, że nie, że się nie należy. Ale zastanawiam się, czy moja córka na tym cokolwiek zyska.

Czy ten legion nauczycielek, gdy dostanie wyższe pensje (w szkole córki jest tylko dwóch nauczycieli – w tym jeden od WF – zresztą obaj ponoć fajni), zmieni swoje utrwalone nawyki? Wątpię.

Reforma szkoły powinna się moim zdaniem zacząć od bardzo poważnej reformy podstawy programowej. I to by zmieniło polską szkołę na dobre. Może zamiast muzyki (nie mówiąc o religii, która powinna ze szkół zniknąć zupełnie), na której dzieci uczą się śpiewać „Panie Janie" i stukać na trójkącie, wprowadzić więcej informatyki i bardziej poważnie? To jest najważniejsze. Oświacie potrzebna jest także zupełna decentralizacja zarządzania. Bo to, że szkoły finansuje samorząd i jest ich „właścicielem", a od programu i nadzoru jest kurator podległy ministrowi, to aberracja. Zgadzam się także z postulatem prof. Antoniego Dudka, że w zależności od regionu kraju podstawa programowa może być inna. Chcą na Podkarpaciu w liście lektur JP2 – proszę. Chcą w Warszawie wierszy Świetlickiego – jak najbardziej. A „Pan Tadeusz" to niech się zajmuje Zosią, a nie polskimi uczniami.

• • •

Druga sprawa. Wcale nie jestem przekonany, że ministrem czy ministrą oświaty ma być ktoś z Lewicy, a tym bardziej jakaś młoda razemówka. Kandydatką Lewicy była Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, ale jak wiadomo z przecieków, ma kierować Ministerstwem Rodziny i Polityki Społecznej (chyba że przecieki są nieprawdziwe). Ona również uznała, że priorytetem są podwyżki dla nauczycieli oraz wprowadzenie funkcji rzecznika praw ucznia w każdej szkole, na co trzeba by kolejnych pieniędzy, a co mogłoby się okazać kompletnym michałkiem, jak podobne funkcje rzeczników praw pacjenta, rzecznika praw konsumenta – są, ale co z tego, jeśli ich kompetencje są mizerne, a ich orzeczeniami nikt się nie przejmuje. Nie jestem poza tym fanem odchylania wahadła raz ekstremalnie w prawo, a raz ekstremalnie w lewo. Objęcie resortu edukacji wywołuje w politykach naturalne pożądanie, bo nowy minister czy ministra będą się dobrze prezentować na tle Czarnka, czyli najgorszego ministra edukacji w dotychczasowej historii III RP, nauczyciele zapewne dostaną obiecane solidne podwyżki, więc nowy minister lub ministra będą wychwalani i zapiszą się we wdzięcznej pamięci.

Myślę, że akurat do oświaty powinien trafić minister nie partyjny, ale ktoś, kto się na niej zna. Spoza układu partyjnego. Niekoniecznie kolejny profesor uniwersytecki. Czy niekoniecznie ktoś związany z Broniarzem i ZNP. Dałoby się, myślę, znaleźć takich ludzi. A jak już ktoś musi być z układu, to w tym przypadku wolałbym kogoś od Tuska. Od Hołowni nie, bo on jest zbytnią konserwą.

WALDEMAR KUCHANNY

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 2147609d46

Uczniów do wora, wór do jeziora

Edukacja w Polsce jest chujowa i taka najwyraźniej ma być.

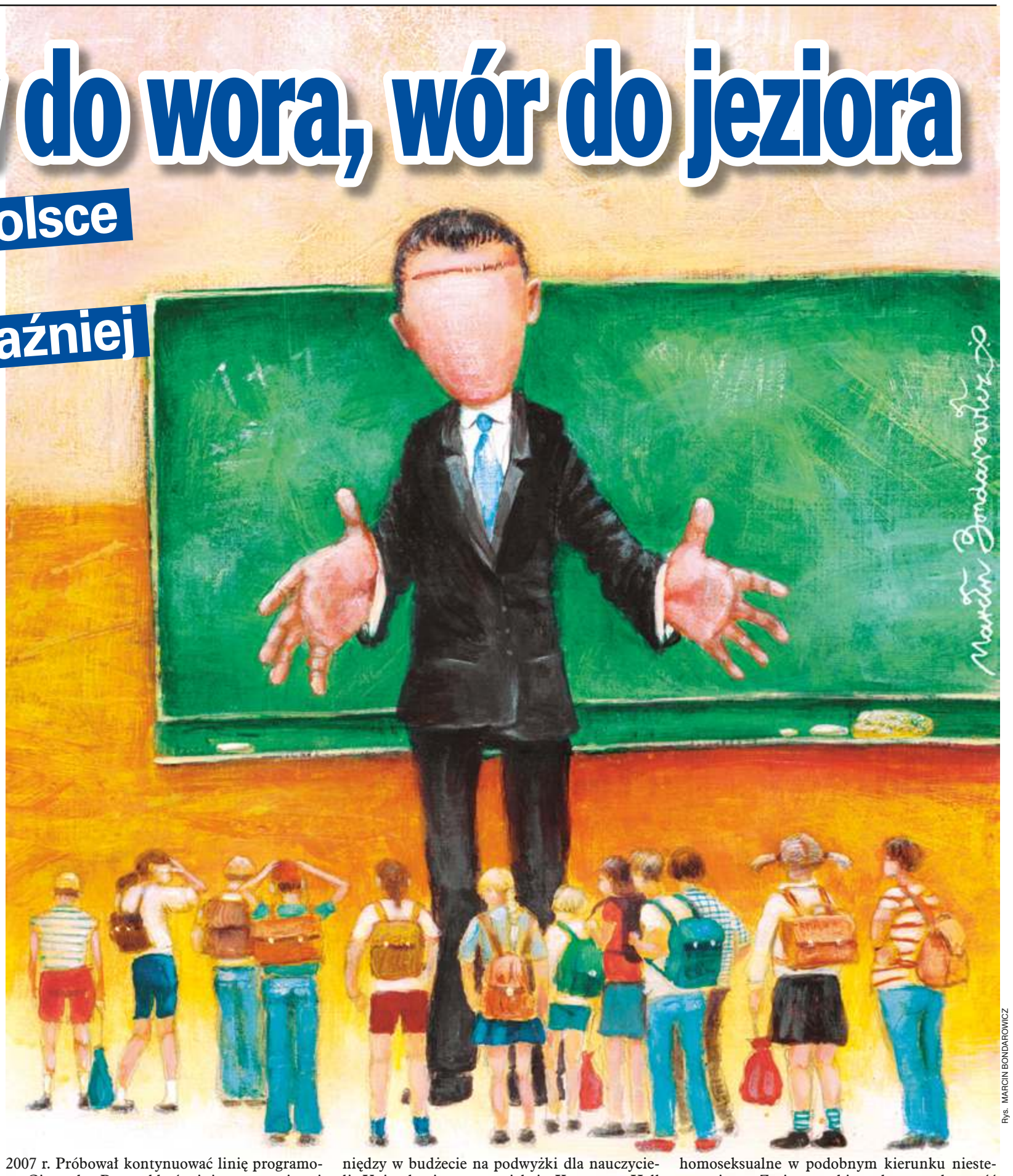

Rys. MARCIN BONDAROWICZ

„Kto był najgorszym ministrem edukacji w ciągu ostatnich pięciu kadencji parlamentu?" (czyli od 2005 r.) – zapytała w marcu 2023 r. w sondażu nauczycieli pracownia badawcza SW Research na zlecenie dziennika „Rzeczpospolita". Wygrał tę konkurencję wiadomo kto: Przemysław Czarnek – 43,1 proc. Dalej byli: Roman Giertych – 11,7 proc., Anna Zalewska – 2,4 proc., Katarzyna Hall – 2,3 proc., Krystyna Szumilas – 2,1 proc., Joanna Kluzik-Rostkowska – 2,0 proc., Dariusz Piontkowski – 1,4 proc., Ryszard Legutko – 1,2 proc., „Nie mam zdania" – 33,8 proc.

Jeszcze ciekawszą konkluzję przyniosło jednak pytanie: „Kto był najlepszym ministrem edukacji w ciągu ostatnich pięciu kadencji parlamentu?". Joanna Kluzik-Rostkowska – 6,9 proc., Krystyna Szumilas – 6,7 proc., Przemysław Czarnek – 6,5 proc., Anna Zalewska – 5,3 proc., Roman Giertych – 1 proc., Katarzyna Hall – 4,4 proc., Ryszard Legutko – 3,9 proc., Dariusz Piontkowski – 1,6 proc., „Nie mam zdania" – 57,9 proc.

Okazało się, że prawie 60 proc. ankietowanych nauczycieli nie potrafi wskazać dobrego ministra edukacji w ciągu ostatnich 18 lat. I faktycznie nie było dobrego. A wszyscy pieją, jak to edukacja, oświata, szkoła są ważne. Chyba jednak są bardzo nieważne.

Przez prawie 20 lat duopol rządzący w tym czasie Polską – PiS i PO – nie był w stanie wskazać, wybrać, mianować ministra edukacji narodowej, który zrobiłby coś dobrego dla szkoły, uczniów i nauczycieli. Wieje naprawdę zgrozą.

Przypomnijmy krótko, kogo partie wysyłały z kagankiem do ciemnego lasu oświaty.

Roman Giertych rządził szkołami krótko, bo od maja 2006 do sierpnia 2007 r. Był wówczas czołowym politykiem ultrakonserwatywnej, nacjonalistycznej, prokościelnej Ligi Polskich Rodzin i koalicjantem rządzącego PiS. Głoszone przez Giertycha nacjonalistyczne poglądy doprowadziły do manifestacji studenckich m.in. w Gdańsku, Krakowie, Łodzi i Warszawie. Inicjatywa Uczniowska zorganizowała protest przed ministerstwem, podczas którego spalono kukłę symbolizującą ministra. Zbierano w całym kraju podpisy pod listem otwartym domagającym się jego odwołania (zebrano ich 138 tys.). Modne stało się młodzieżowe hasło „Giertych do wora – wór do jeziora". Jako minister edukacji najpierw wprowadził ponownie matematykę jako obowiązkową na maturze, potem ogłosił aberracyjną „amnestię maturalną" dla tych, co nie zdali (miało to objąć ok. 50 tys. uczniów). Próbował nakazać noszenie we wszystkich szkołach mundurków. Zabronił wpuszczania do placówek organizacji związanych z LGBT pod karą dla dyrektorów, a także Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Próbował wprowadzić nakaz zawiadamiania policji lub sądu przez dyrektorów szkół o symptomach świadczących o demoralizacji uczniów oraz zakaz przebywania nieletnich w miejscach publicznych po godzinie 22. Na najbardziej problematycznych uczniów miała czekać szkoła o specjalnym rygorze. Wymyślił tzw. giertychowskie trójki, grupy, w których skład wchodzili policjant, przedstawiciel gminy oraz wizytator z kuratorium. Miały one być wzywane do szkoły w razie problemów i patrolować w nocy ulice. Podczas nieformalnego spotkania ministrów edukacji państw UE zaproponował stworzenie Wielkiej Karty Praw Narodów mającej zawierać m.in. obejmujący całą Europę zakaz przeprowadzania aborcji i „propagandy homoseksualnej", co sprawiło, że wszystkim opadły szczęki. Zdecydował o wyrzuceniu z listy lektur „Trans-Atlantyku" i „Ferdydurke" Gombrowicza, w zamian wprowadzając „Pamięć i tożsamość" Jana Pawła II. Zamierzał dostarczyć za 19 mln zł 15-tomowy zbiór dzieł papieża do każdego technikum i liceum.

Ryszard Legutko – profesor nauk humanistycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego, nominat PiS. Był ministrem edukacji właściwie przez chwilę: od sierpnia do listopada 2007 r. Próbował kontynuować linię programową Giertycha. Przestał być ministrem, ponieważ Kaczyński – zwaśniony z koalicjantami, czyli Ligą Polskich Rodzin Giertycha i Samoobroną Leppera – podał rząd do dymisji, planując wcześniejsze wybory. Nic nie zdążył, ani bardziej popsuć, ani naprawić w szkolnictwie. Znając poglądy Legutki, można przypuszczać, że szkoła pod jego zarządzaniem byłaby homofobiczna, antyeuropejska, nacjonalistyczna i kościółkowa.

Katarzyna Hall – nauczycielka, działaczka oświatowa i ministra edukacji w rządzie Donalda Tuska od końca 2007 do końca 2011 r. Jej podstawowa reforma to wprowadzenie obowiązku szkolnego dla sześciolatków (obowiązek ten został po kilku latach zniesiony). Spotkało się to ze sporym oporem rodziców. Aż wydaje się nieprawdopodobne, że osoba z tak długim stażem w ministerstwie i teoretycznie przygotowana do pełnienia tej funkcji była tak kompletne bezbarwna i nic w zarządzaniu szkołami ani w kwestiach programowych nie zrobiła.

Krystyna Szumilas – kolejna nominatka Platformy Obywatelskiej w Ministerstwie Edukacji. W okresie PRL nauczycielka matematyki w podstawówce w Knurowie. Od lat 90. zawodowa polityczka. Była ministrą od listopada 2011 do listopada 2013 r. Kontynuowała w fotelu ministra politykę Katarzyny Hall, czyli niespecjalnie robienia czegokolwiek. Za ministrowania Krystyny Szumilas rozpoczęto prace nad e-podręcznikami, które miał być dostępne bezpłatnie dla wszystkich uczniów. Do dzisiaj projekt nie został zakończony i pewnie nikt o nim nie pamięta.

Joanna Kluzik-Rostkowska – dziennikarka i polityczka, trzecia nominatka Donalda Tuska (choć kilka razy się przebarwiała politycznie, wspierając także braci Kaczyńskich). W MEN od listopada 2013 do listopada 2015 r. Podczas jej urzędowania w 2015 r. doszło do wielkich strajków nauczycieli, a pod siedzibą ministerstwa zgromadziło się ok. 20 tys. protestujących. Ministerka przemówiła wtedy do zgromadzonych, informując, że nie ma pieniędzy w budżecie na podwyżki dla nauczycieli. Upierała się przy projekcie Katarzyny Hall „Sześciolatki do szkoły" oraz próbowała kontynuować projekt Szumilas dotyczący e-podręczników. Bez efektów. Napisała też list otwarty do rodziców, że mają prawo, aby dziećmi podczas przerwy świątecznej opiekowali się nauczyciele. Uruchomiła specjalną linię telefoniczną i adres mejlowy dla rodziców, którzy mają jakieś uwagi w tym zakresie. Nauczyciele dostali białej gorączki.

Anna Zalewska – już za drugich rządów PiS pełniła funkcję ministra edukacji prawie cztery lata, najpierw w rządzie Beaty Szydło, a następnie w rządzie Mateusza Morawieckiego. Nauczycielka ze Świebodzic, w końcu przez kilka kadencji posłanka. Zlikwidowała wprowadzone w 1999 r. gimnazja i przywróciła ośmioklasową szkołę podstawową. Jednym z głównych założeń reformy, dzięki której powstały gimnazja, było oddzielenie młodszych dzieci od nastolatków. Zdecydowana większość szkół już wcześniej skupiała dzieci z klas I–III na wydzielonym obszarze, niedostępnym dla uczniów klas starszych. Czas dorastania – mniej więcej okres od 11. do 15. roku życia – to okres gwałtownych zmian, nie tylko biologicznych, ale też psychicznych i społecznych. Drugą reformą Zalewskiej było przekształcenie zasadniczych szkół zawodowych w szkoły branżowe I i II stopnia. Trudno dociec, co poza zmianą tytulatury miała wnieść ta reforma. Za kadencji Zalewskiej doszło także do ogólnopolskiego strajku nauczycieli niemal w całej Polsce. Nauczyciele strajkowali w sprawie podwyżek oraz przeciwko likwidacji gimnazjów. Zalewska zrezygnowała z ministrowania, kiedy dostała mandat do Parlamentu Europejskiego.

Dariusz Piontkowski – minister edukacji w rządzie Mateusza Morawieckiego od czerwca 2019 do października 2020 r. Musiał przeprowadzić polskie szkoły przez epidemię koronawirusa. Jedyny jego pomysł to wprowadzenie nauczania zdalnego w trakcie lockdownu, co edukacji raczej nie pomogło. Zasłynął z wypowiedzi: „Hasło adopcji dzieci przez pary homoseksualne w podobnym kierunku niestety zmierza. Zmierza w kierunku tego, by część dzieci została wychowana na niestandardowe zachowania seksualne" oraz „To nie jest zgodne ani z polską, ani z chrześcijańską tradycją. To święto jest makabryczne i angażowanie w to dzieci nie jest dobre. Dziwię się nauczycielom, którzy chcą to organizować. To jest chore, że dzieciom organizuje się Halloween".

Przemysław Czarnek – jest ministrem od października 2020 r. do chwili obecnej. Prof. prawa na KUL, czołowy pisowiec, najbardziej rozpoznawalny i jednocześnie najbardziej fatalny minister edukacji od czasów Giertycha. Mizogin, homofob, polityczny konformista. Zapowiedział z jednej strony ograniczenie podstawy programowej (czego nie zrobił), z drugiej – rozbudowanie jej o treści dotyczące Jana Pawła II i żołnierzy wyklętych (czego dokonał). Zwalczał poglądy lewicowe i liberalne w edukacji. Zapowiedział także, że uzależni nabór w szkołach średnich bądź wyższych nie tylko od osiągnięć szkolnych, ale także od działalności w organizacjach katolickich bądź państwowych. Wprowadził do szkół średnich nowy przedmiot pod nazwą historia i teraźniejszość z grafomańskim i wybiórczym podręcznikiem Wojciecha Roszkowskiego. Chciał wprowadzić obligatoryjny wybór między religią a etyką (usuwając tym możliwość nieuczęszczania na żaden z tych przedmiotów). Zaproponował nowelizację prawa oświatowego, tzw. lex Czarnek, w której domagał się większej kontroli kuratoriów oświaty nad dyrektorami szkół (m.in. w zakresie organizowania zajęć w szkołach przez organizacje społeczne) z możliwością natychmiastowego zwolnienia dyrektora. Nawet Duda mu to zawetował. Najgorzej oceniany minister podczas swojej całej kadencji.

??? – kto będzie kolejnym ministrem edukacji? Dopiero zobaczymy. Już jednak warto się trochę bać.

A gdzie w tym wszystkim uczniowie? W czarnej dupie.

W.K.

eprasa.pl 2147609d46

WIARA CZYNI CZUBA

1. Wybory prezydenckie w Argentynie wygrał – zgodnie z przewidywaniami – Javier Milei: oszalały prawak, który wsławił się tym, że w jego programie była likwidacja publicznego szkolnictwa i służby zdrowia, a także legalizacja handlu organami. Inne postulaty programowe Mileia to wycofanie edukacji seksualnej ze szkół i przywrócenie całkowitego zakazu aborcji, co czyni go „wielką nadzieją" argentyńskich obrońców życia. „Wielka obietnica dla wielu. Niech Bóg pomoże ci zachować twoje zasady do końca" – raduje się ksiądz Javier Olivera Ravasi, dyrektor katolickiej organizacji propagandowej „Nie wierz we wszystko, co słyszysz". Entuzjazmu księdza Javiera nie gasi fakt, iż nowy argentyński prezydent nazywa papieża Franciszka „pierdolonym komunistą" i „kupą komunistycznego gówna".

2. Arcybiskup Samuel Aquila z Denver wydał list duszpasterski w temacie jarania trawy. Chce w ten sposób „pomóc katolikom w inteligentnym dialogu z 70 proc. Amerykanów, którzy obecnie uważają, że marihuana powinna być legalna". Arcybiskup uważa, że legalizacja miękkich narkotyków i rezygnacja z karania za ich używanie grozi duszy. Aquila pouczył wiernych, że „najważniejszą rzeczą, jaką możemy zrobić jako chrześcijanie w odpowiedzi na kulturę narkotykową, jest głoszenie Ewangelii", gdyż to „dzięki miłości, miłosierdziu, sensowi i nadziei, które można znaleźć w Chrystusie, ludzie mogą powstrzymać się od zażywania narkotyków lub znaleźć inspirację do uwolnienia się od ich wpływu". A jak miłość, miłosierdzie, sens i nadzieja nie zadziałają, to zawsze można ich wsadzić do pierdla. Dla ich dobra.

3. Uczennica liceum z Alabamy Keyla Castro zorganizowała w szkolnym kiblu „lustro modlitewne". To zwykłe lustro nad umywalką, na którym, na jej zaproszenie, inne uczennice wieszają modlitwy zapisane na samoprzylepnych karteczkach. Zakleiły już całe lustro, co wprawdzie pozbawia go jego zasadniczej funkcji – co w przypadku nastolatek oznacza upewnienie się, że nadal są piękne lub brzydkie, w zależności od samooceny – ale za to podnosi na duchu. Uwagę zwraca głębia myśli uwidocznionych na lustrze: „Bądź szczęśliwa!", „Uśmiechnij się, życie jest zbyt krótkie, by być nieszczęśliwa!", „Bądź powodem, dla którego ktoś się dziś uśmiechnie". Nie zabrakło też przekazów religijnych: „Bóg jest zawsze z tobą", „Z Bogiem wszystko jest możliwe". To informacja, którą koniecznie należy wynieść z kibla.

4. Boliwijski episkopat wyraził oburzenie z powodu policyjnego prześladowania biskupa diecezji San Ignacio de Velasco Roberta Flocka. Biskup był bowiem przez pięć godzin przesłuchiwany w charakterze świadka w sprawie gwałtu, o który oskarżony jest ksiądz z jego diecezji Erick Palomino Fuentes. Ksiądz stał się słynny po tym, jak zgubił w taksówce komórkę, w której znajdowały się jego zdjęcia. Ich charakter skłonił policję do postawienia księdzu zarzutu gwałtu. Zdaniem biskupa zarówno ksiądz, jak i drugi mężczyzna ze zdjęć zawiadomili go, iż „od pewnego czasu łączyły ich intymne relacje i spożywali dużo alkoholu". Zeznanie biskupa interesuje policję o tyle, że ksiądz Erick, mimo iż całkiem niewinny, uciekł przed policją i ukrywa się w nieznanym miejscu. Zdaniem episkopatu biskup „padł ofiarą ekscesów" ze strony śledczych.

5. Katolicka agencja CNA opowiada radosną historię księdza nazwiskiem Peter Adamski ze Stratfordu w stanie Connecticut. Peter chciał zostać księdzem, ale tylko do 19. roku życia, czyli „momentu, w którym jego oczy spoczęły na Kathy". Peter ożenił się z Kathy, zrobił jej dziecko i żyliby długo i szczęśliwie, gdyby Kathy w wieku 61 lat nie otrzymała jednocześnie diagnozy nowotworu i wczesnej postaci alzheimera. W ostatniej rozmowie Peter powiedział żonie – która, jak donosi CNA, już nie pamiętała ich ślubu – że myśli o zostaniu księdzem. „Peter, idź w to" – odpowiedziała i umarła. Adamski jest księdzem od czterech lat. „Wierzy, że jego małżeństwo pomogło mu być lepszym księdzem, chociaż nie opowiada się za zniesieniem celibatu, bo uważa, że stan duchowny i małżeństwo powinny być rozdzielone" – donosi optymistycznie CNA.

6. Hiszpańska prawica ekscytuje się cytatem pochodzącym jakoby od byłego papieża Benedykta: „Diabeł wie, co Hiszpania zrobiła w całej swojej historii: ewangelizacja obu Ameryk, rola Hiszpanii podczas kontrreformacji… Diabeł atakuje najlepszych i dlatego atakuje Hiszpanię". Złotą tę myśl – mającą jakoby być odpowiedzią Ratzingera na prośbę o „modlitwę za Hiszpanię" – opublikował były ultraprawicowy minister spraw wewnętrznych w rządzie Mariana Rajoya Jorge Fernández Díaz, który wsławił się stwierdzeniem, iż „przetrwanie gatunków" jest powodem, dla którego małżeństwa jednopłciowe nie powinny być pod ochroną państwa. Ratzinger nie żyje, więc nie może wyjaśnić, czy naprawdę w 2015 r. uważał najbrutalniejszą kolonizację i najkrwawszą inkwizycję za szczególnie miłe Bogu.

7. Szkocki rząd opublikował projekt „Wytyczne dotyczące edukacji w zakresie związków, zdrowia seksualnego i rodzicielstwa". Jest w nich napisane: „Szkoły odgrywają kluczową rolę w edukacji, której celem jest integracja wszystkich uczniów, niezależnie od wyznawanych przekonań i wartości". Kościół lamentuje, że w dokumencie nie znalazło się zapewnienie, że szkoły katolickie – mające w Szkocji status szkół publicznych – mają prawo nauczania katolickiej bigoterii. „Konferencja Episkopatu Szkocji jest zarówno rozczarowana, jak i zdezorientowana decyzją szkockiego rządu o usunięciu wszelkich odniesień do szkół katolickich w dokumencie" – orzekli biskupi. Fakt, że szkocki rząd nie pozwala już dłużej uczyć dzieci, że homoseksualiści to zboczeńcy, których należy leczyć, szczerze oburzył szkocki episkopat.

Rys. WIDGET

Gwałt niech się gwałtem odciska.

Nadmiarowy zgon parytetu

Myślę sobie, że zwycięska „demokratyczna opozycja" nie postępuje zbyt mądrze. PiS niewątpliwie w wielu obszarach zostawia straszliwy burdel, którego posprzątanie będzie wymagało żelaznej determinacji i koronkowej precyzji naraz. Ale rozpoczynanie prac parlamentu od aroganckiej demonstracji siły nie przyczynia się do wizerunku „nowej polityki" – wręcz odwrotnie, robi niemiłe wrażenie, że filozofia przyświecająca nowej władzy jest cokolwiek nienowa i zawiera się w zawołaniu „Teraz, kurwa, my".

A przecież można było to robić z większą subtelnością. Powołać, zgodnie z dobrym obyczajem sejmowym, kandydatów PiS na należne im wedle parytetu funkcje, a potem odwołać, jeśli sobie zasłużą.

Marszałkowie

Do odwołania wicemarszałka sejmu trzeba wniosku 15 posłów. W senacie wnioskodawców musi być 34. W obu izbach decyzja taka podejmowana jest bezwzględną większością głosów (głosy wstrzymujące się liczone są jako „nie"). Co oznacza, że „demokratyczna większość" będzie to mogła zrobić w każdej chwili. Zamiast tego zdecydowała się na drogę, która utwierdza wyborców PiS w ich przekonaniu, że stało się nieszczęście.

Rozumiem, że głosowanie za kandydaturą Elżbiety Witek na wicemarszałka sejmu byłoby dla wielu posłów dawnej opozycji czynem obrzydliwym. Ale zagłosowanie przeciwko – i pozostawienie największego klubu poselskiego bez przedstawiciela w prezydium – to tak naprawdę prezent dla PiS. To, czego formacja Kaczyńskiego potrzebuje teraz jak tlenu, to mobilizacja rzesz wyborców, utwardzenie twardego elektoratu, wykazanie mu, że razem ze swoją partią tkwi w twierdzy oblężonej przez lewacko-niemiecką dyktaturę. Szkodliwość samotnej Witek w prezydium byłaby proporcjonalna do jej wpływu na jego prace, czyli zerowa. PiS o tym wie, stąd zamiast zaproponować innego kandydata, radośnie rzuciło się na okazję zademonstrowania swojemu elektoratowi, z jaką niedemokratyczną nową większością ma do czynienia.

A ta większość w jakimś bezrozumnym zachłyśnięciu się władzą powtórzyła ten numer w senacie, choć o ile odrzucenie Witek można jeszcze jakoś uzasadnić jej osiągnięciami na odcinku reasumpcji głosowań, o tyle zarzuty wobec Marka Pęka są zgoła humorystyczne. Jego wypowiedź o „większości prorosyjskiej" w pełni mieściła się w standardach obecnej debaty parlamentarnej w Polsce. Kto nie oskarżył przeciwników politycznych o działania w interesie Kremla, niech pierwszy rzuci kamieniem.

Komisje

A najgorsze jest to, że ten nastrój radosnej masakry trwa. Teraz przeszło na podział szefów komisji sejmowych.

Brutalna prawda jest taka, że PiS ma rację, kiedy twierdzi, że według parytetu powinien dostać 12 komisji. Komisji stałych jest 29, PiS ma 42 proc. mandatów – inaczej nie da się tego policzyć. Tymczasem Borys Budka ogłosił, że kaczyści dostaną sześć, góra siedem komisji, a Marcin Kierwiński dołożył błyskotliwą uwagę, iż „jest rzeczą naturalną, że rządząca koalicja będzie miała większość w prezydiach większości komisji".

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Otóż nie jest. Było za czasów kaczystowskiego dyktatu, ale przecież to nie jest ten wzorzec, który „demokratyczna opozycja" uważa za „naturalny". W izolowaniu opozycji nowa większość posuwa się dalej niż ktokolwiek inny w historii III RP. Sprawdziłam. Po raz pierwszy od dziesięciu kadencji zaistniała sytuacja, w której uchwała o składzie komisji sejmowych nie została podjęta w zasadzie jednogłośnie. Zdarzało się, że kilku posłów wyłamało się z konsensusu i głosowało przeciw. Rekordowe lata pod tym względem to rok 2001, kiedy przeciw podziałowi komisji zagłosowało sześciu posłów PO i jedna posłanka SLD (pewnie przez pomyłkę), oraz 2019 – kiedy przeciwnych było sześciu konfederatów. W innych kadencjach trafiały się pojedyncze głosy sprzeciwu. Tym razem przeciw proponowanemu w uchwale podziałowi miejsc w komisjach zagłosowało 178 posłów klubu PiS. I wiecie co? Wcale się im nie dziwię.

Kali

Stałe komisje sejmowe w tej kadencji liczą od 14 do 39 członków. W większości z nich PiS-owi przyznano mniej niż jedną trzecią miejsc, w dwóch – ochrony środowiska, zasobów naturalnych i leśnictwa oraz samorządu terytorialnego i polityki regionalnej – zaledwie jedną czwartą. Ja rozumiem, że to miała być taka kara za to, co odchodząca władza wyprawiała z lasami i samorządami, ale to chyba nieco infantylny sposób prowadzenia polityki.

Ale skoro już tak się stało, to może należało zachować chociaż pozory demokratyczności i przyznać kaczystom te 12 komisji, które im się po parytecie należą? Przy tym układzie sił zawsze i każdego można odwołać, jeśli będzie taka potrzeba. Czemu zatem nie zachować się, choćby na wstępie, zgodnie z dobrym obyczajem?

„Pogarda to było największe zło, z jakim traktowaliście nie nas, parlamentarzystów, ale Polki i Polaków" – na pierwszym posiedzeniu mówił do posłów PiS przyszły wicepremier z Lewicy Krzysztof Gawkowski. Dodając złowieszczo: „Cztery lata siedzicie w opozycji i tak będziemy was traktowali, jak wy nas traktowaliście". Czy tylko ja widzę, że coś jest nie tak z tym rozumowaniem?

Jeśli zgodzimy się, że sposób, w jaki PiS traktowało opozycję, był w istocie rzeczy wyrazem pogardy dla jej wyborców – co moim zdaniem jest założeniem zasadnym – to komunikat, iż teraz nowa władza potraktuje PiS tak samo, jest w sposób nieunikniony wyrazem pogardy dla 7,6 mln wyborców PiS.

Nie najlepszy sposób na odbudowę demokracji.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl 2147609d46

Strefa Czystego Nonsensu

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Ekologia miejska nie polega na tym, żeby robić coś z sensem, tylko żeby zarobić.

Od lipca przyszłego roku, jak się ma stary samochód, to do Krakowa i Warszawy już się nim nie wjedzie. „Wsłuchaliśmy się w głos tych mieszkańców, którzy troszczą się zdrowie i jakość powietrza, dlatego zadecydowaliśmy o powiększeniu obszaru strefy czystego transportu, co sprawi, że efekt dla jakości powietrza będzie znaczący” – opowiada wszem i wobec wiceprezydent stolicy Michał Olszewski.

Odporni na spaliny

Warszawiacy dopiero się dowiedzieli o strefie, stąd pewnie jeszcze nikt nie protestuje. W Krakowie zaś już się zaczęło. Do magistratu wpłynęło ponad 7 tys. podpisów pod petycją, żeby urzędnicy nie zawracali sobie głowy Strefą Czystego Transportu. „Bardzo szanujemy zdanie mieszkańców, jednak wiemy też, że zdecydowanie więcej osób opowiedziało się za poprawą powietrza, a tego bez wprowadzenia strefy nie da się osiągnąć” – zaoponował w mediach Sebastian Kowal, rzecznik krakowskiego Zarządu Transportu Publicznego.

I wiceprezydent, i rzecznik albo nie mają pojęcia, o czym mówią, albo po prostu kłamią. Zaproponowane przez oba miasta SCT, poza ładnym opakowaniem, niczego w poprawieniu jakości powietrza nie załatwią.

Oczywiście łżą też obrońcy posiadaczy starych aut, strasząc wykluczeniem komunikacyjnym i szermując hasłami, że teraz centra miast będą dostępne tylko dla milionerów, bo to ich stać na nowe bryczki.

W Warszawie strefa ma objąć całe Śródmieście, Żoliborz i Pragę Północ, prawie całą Ochotę i Pragę Południe, większość Mokotowa oraz połowę obszaru Woli. Na niemal równie gęsto zabudowanym Ursynowie, Bemowie czy Białołęce widać mieszkają ludzie odporniejsi na spaliny i inne niefajne rzeczy generowane przez auta. To dopiero pierwszy z idiotyzmów.

Postrasz i zarób

Zasadniczo od lipca 2024 r. nie będzie się można poruszać po strefie pojazdem z silnikiem Diesla starszym niż 18 lat i pojazdem benzynowym starszym niż 27 lat. Według statystyk samochodowych tak wiekowe autka wjeżdżające do centrum stolicy stanowią 7–8 proc. wszystkich samochodów. Żeby je powstrzymać przed dojechaniem przed Pałac Kultury, miasto będzie musiało wydać ciężkie miliony złotych na zintegrowany z Centralnym Rejestrem Pojazdów i Kierowców system czujników czytających tablice rejestracyjne. Kamer takich powinno być przynajmniej kilkaset. Na tym stołecznych debilizmów nie koniec.

Reguły strefy dotyczyć będą ludzi zamieszkujących czysty transportowo obszar i płacących podatki w Warszawie za cztery lata – od stycznia 2028 r. Od wtedy dopiero nie będą mogli poruszać się po strefie pojazdem z silnikiem Diesla starszym niż 13 lat i pojazdem benzynowym starszym niż 22 lata.

Kolejny wyjątek będą stanowiły osoby, które do końca 2023 r. ukończą 70 lat. Będą one zwolnione bezterminowo z zasad obowiązujących w ramach SCT. Oczywiście do strefy zawsze i wszędzie będą mogły wjeżdżać pojazdy zabytkowe. Te zaś według polskich przepisów o rejestrze ruchomych zabytków muszą mieć przynajmniej 30 lat albo produkcję danych modeli zakończono 15 lat temu. Wtedy można się postarać o żółte tablice.

Gdyby zatem zbić do kupy warszawskie przepisy o Strefie Czystego Transportu, spowoduje ona wyeliminowanie raptem góra 5 proc. wjeżdżających w jej granice pojazdów.

Jeszcze zabawniej będzie w Krakowie. Od lipca do całego miasta nie wjadą samochody osobowe na benzynę z roku 1992 i starsze oraz diesle z rocznika 1996 i starsze. Znaczy autka, których dziś nie spotka się nawet na złomowiskach. Ale od lipca 2026 r. ograniczenia będą obowiązywały jeszcze więcej pojazdów. Do miasta nie wjadą już samochody benzynowe wyprodukowane przed 2000 r. oraz samochody z silnikiem diesla sprzed 2010 r. Każdy mechanik samochodowy powie, że 26-letni benzyniak nie żyje już przynajmniej od 6–7 lat. Gorzej z właścicielami diesli, bo 16-letnie auto na ropę może jeszcze parę lat pohulać. Tak czy inaczej szlaban na wjazd do Krakowa dotknie nie więcej niż 5 proc. jeżdżących po mieście samochodów. Oczywiście aby to kontrolować, trzeba wydać miliony na monitoring. No i – tak jak zapowiada również Warszawa – kolejne miliony na parkingi na granicy miast.

Ale jak się już wprowadzi Strefy Czystego Transportu, to obie metropolie znajdą się w „ekskluzywnym” klubie 320 europejskich miast ze Strefami Czystego Transportu. Ten głupi argument został przez warszawski ratusz wzmocniony wynikami specjalnych badań na grupie 1020 mieszkańców. Wyszło z nich, że niemal 70 proc. dorosłych mieszkańców Warszawy popiera wprowadzenie SCT. Osoby w wieku 70 lat i starsze częściej niż pozostałe uważały, że dzięki SCT mieszkańcy będą zdrowsi.

Spece od transportu drogowego i środowiska od miesięcy śmieją się zarówno z zasad związanych ze strefą, jak i z ignorancji urzędników.

Kadencja XD

Najbliższe lata w parlamencie zapowiadają się czarująco.

Jeszcze się dobrze nie zaczęło, a już mamy pierwsze kwiatki. Sejmowi debiutanci z list dotychczasowej opozycji wprawiają w osłupienie wyborców, którzy nie wiedzą, co z tym fantem zrobić. Zjeść tę żabę w imię walki z widmem powrotu kaczyzmu czy nie dawać taryfy ulgowej i wymagać także od swoich. To drugie rozwiązanie nie ma w Polsce bogatej tradycji – preferowane jest wybaczanie nawet największych głupstw „naszym”.

Za, a nawet przeciw

Zaskoczył już na pierwszym posiedzeniu sejmu X kadencji poseł Łukasz Litewka wybrany z list Lewicy. Właściwie to zaskoczył jeszcze przed, bo zdobył więcej głosów niż Włodzimierz Czarzasty, który startował z pierwszego miejsca w tym samym okręgu. Litewka był ostatni na liście w Sosnowcu, a zdobył prawie dwa razy więcej głosów niż lider listy i całej Lewicy. Sympatyczny pan z pieskami na banerach, społecznik i internetowy celebryta, szturmem wdarł się na Wiejską, ale chyba nie czytał programu komitetu, z którego list startuje. A kompletujący te listy nie sprawdzali, czy poglądy kandydata choć trochę pokrywają się z programem Lewicy. Już pierwsze dni posłowania pokazały, że nie bardzo.

Jeszcze przed zaprzysiężeniem okazało się, że Litewka rozjeżdża się poglądowo z Lewicą, jeśli chodzi o sztandarowe hasło tej formacji, czyli o aborcję. Zapytany przez „Wyborczą” o tę kwestię powiedział, że jest za, ale „tylko w uzasadnionych przypadkach, na przykład wtedy, gdy ciąża zagraża życiu i zdrowiu kobiet. Przyszłe mamy nie mogą obawiać się zachodzenia w ciążę”. Posłanki Lewicy zapowiedziały dyscyplinujące rozmowy z nowym nabytkiem. Rozmowy chyba poskutkowały, bo podpis Łukasza Litewki pojawił się pod projektem ustawy o bezpiecznym przerywaniu ciąży złożonym do laski marszałkowskiej przez Lewicę. Ale niesmak pozostał, a nawet pogłębił się podczas ślubowania.

Z boską pomocą

Łukasz Litewka był jedynym posłem Lewicy, który do przysięgi poselskiej dodał formułkę „tak mi dopomóż Bóg”. I znowu wywołał poruszenie. Bo wzywanie Boga ku pomocy nijak się ma do kolejnego sztandarowego postulatu Lewicy – świeckiego państwa. Pisowski tygodnik „Sieci” tak relacjonuje to zamieszanie: „»W klubie Lewicy ustaliliśmy, że nikt z nas nie użyje frazy ’tak mi dopomóż Bóg’, choć są wśród nas osoby wierzące, ale chcieliśmy, by ślubowanie w ramach klubu było jednolite« – słyszę od jednego z parlamentarzystów. »Gdy Łukasz Litewka się wyłamał, zapytaliśmy go, dlaczego to zrobił, i usłyszeliśmy, że obiecał dziadkowi«”.

Stężenie absurdu nawet jak na polską politykę dość wysokie. Właściwie dobrze się stało i jest to całkiem symboliczny obrazek oddający stan dzisiejszej polskiej lewicy. Biorą na listę typa znikąd, który wyprzedza liczbą głosów szefa Nowej Lewicy. Kandydat, jak się okazuje, z lewicą ma niewiele albo i nic wspólnego, poglądy i głosowania dostosowuje do wyniku rozmów z koleżankami lub dziadkiem. Argument z dziadkiem jest już jawną kpiną i pokazaniem, gdzie się ma partyjnych kolegów i szefów. Ostentacyjnie śmieje im się w twarz. Wie, że chuja mu mogą zrobić, bo ma za sobą internetową armię fanów i bardziej on był potrzebny im niż oni jemu. W sumie szanuję gościa, bo pokazał miałkość polityki partyjnej i tych wszystkich wyszukanych gierek i strategii aparatczyków.

Magister metafizyki

Koalicja Obywatelska nie może być gorsza i też ma swojego ananasa. Nazywa się Marcin Józefaciuk i stanowi poważną konkurencję dla Litewki. Przeszedł się po mediach i opowiedział to i owo o swoim światopoglądzie oraz stylu życia. W wywiadzie dla „Dużego Formatu” deklaruje się jako neopoganin praktykujący przedziwne rytuały. „Mocno czerpię z rytuałów dawnych zielarek i wiedźm, tzw. kobiet wiedzących, które kiedyś w każdej ze wsi były traktowane bardzo poważnie” – opowiada świeżo upieczony poseł.

Bez cienia żenady snuje wywód o tym, jak praktykuje konchowanie, czyli „wkłada się do ucha taki jakby komin i w nim spala różne rzeczy. W rezultacie osadzają się w uchu olejki eteryczne, a efekt komina powoduje, że wyciągane są różne syfy”. Pan poseł jest certyfikowanym specjalistą od takich praktyk oraz magistrem… metafizyki. „Studiowałem co prawda online, ale jednak na amerykańskim uniwersytecie metafizycznym, bo po prostu interesują mnie te rzeczy. Tam było dużo psychologii, parapsychologii, nauki o człowieku. I to jest trochę dziwne, ale tak jest w Stanach, że osoba, która kończy taką szkołę, dostaje papiery pastora. Jestem więc też pastorem” – chwali się lub żali Józefaciuk. W kampanii był herosem, który biega ultramaratony, będąc dyrektorem szkoły i nauczycielem sześciu przedmiotów. Był nawet poważnie rozważany jako kandydat na ministra edukacji.

Jedna baba drugiej babie

Jeszcze przed wyborami śmialiśmy się z odklejeńców na listach Konfederacji. Wyciągnięto Mentzenowi opowieść o medycynie ludowej. „Moja babcia wzięła mojego brata do jakiejś wiejskiej baby, która w tym miasteczku od dziesiątek lat leczyła ręce. Ta baba wzięła rękę mojego brata, coś tam ponaciskała i ręka

Rys. JANUARY

eprasa.pl 2147609d46

Według profesjonalistów jedynym celem wprowadzenia strefy na takich zasadach jest chęć rozparcelowania milionów złotych wśród zaprzyjaźnionych wykonawców parkingów i monitoringu. Strefa bowiem dla jakości powietrza w dawnej i obecnej stolicy Polski nie będzie miała najmniejszego znaczenia.

Zamydlanie oczu

Od lat jesteśmy karmieni informacją – skądinąd potwierdzoną w badaniach Europejskiej Agencji Środowiska – że 96 proc. mieszkańców europejskich miast jest narażonych na zbyt wysokie stężenie zanieczyszczeń, między innymi pyłów PM 2,5. Według europejskich szacunków rocznie ok. 240 tys. mieszkańców Starego Kontynentu umiera przedwcześnie z powodu nadmiernej zawartości cząstek stałych PM 2,5 w powietrzu, którym oddychamy. Dwutlenek azotu (NO_2) przyczynia się do ok. 50 tys. przedwczesnych zgonów. Ozon – 24 tys. osób.

Pojazdy spalinowe odpowiadają aż za 37 proc. tlenków azotu w powietrzu. Transport drogowy odpowiada za powstawanie 23 proc. sadzy. Tyle że najwięcej powstaje jej wskutek ogrzewania budynków – 37 proc., a sporo także w efekcie przetwarzania odpadów – 19 proc.

Według danych Europejskiej Agencji Środowiska (EAS) transport drogowy odpowiada za 9 proc. emisji pyłu zawieszonego PM 2,5 i PM 10. Największym emitentem jest tu ogrzewanie budynków – 58 proc. w przypadku pyłu PM 2,5 oraz 44 proc. w przypadku pyłu PM 10. Na dalszym miejscu wymienia się przemysł – 14 proc. w przypadku PM 2,5 i 19 proc. dla PM 10.

Spróbujmy pomniejszyć poszczególne dane o zanieczyszczaniu powietrza przez samochody o 5 proc., które zyskamy ze Stref Czystego Transportu. Okaże się, że tlenki azotu, sadza i pył zawieszony spadną o ilości niezauważalne nawet dla czujników. O zdrowiu nie wspominając.

Eksperci dodają do tych wszystkich danych jeszcze jedno: smog samochodowy to nie tylko to, co leci bezpośrednio z rur wydechowych. Przeciwnie. Tylko około 7 proc. zanieczyszczeń komunikacyjnych tworzy się w taki sposób. Zdecydowanie dominująca część smogu samochodowego to tzw. unos wtórny, czyli wszystko to, co zalega na ulicach, a następnie jest wzbijane do powietrza przez jeżdżące po tym pojazdy lub ruch pieszych. To pył, kurz i mikrocząsteczki ze zdzieranych opon. Bez względu na to, czy opona należy do pojazdu jeżdżącego na wodór, elektrycznego czy z dwudziestoletnim silnikiem Diesla.

Fachowcy od komunikacji miast zwracają uwagę, że

dzisiejsze sposoby walki z miejskim smogiem to tylko zagrywki medialne. Zamiast sensownej urbanistyki w naturalny sposób zakładającej przewietrzanie miast i tworzenie nowych korytarzy dla wiatru samorządy zgadzają się zabudowywać metropolie blok w blok.

Likwiduje się przejścia podziemne, puszczając ruch pieszy na poziomie aut. Tylko po to, żeby samochody, stojąc w korkach, truły jeszcze bardziej. Na końcowych przystankach metra czy tramwajów buduje się parkingi nie na 2000, ale na 100 samochodów.

W miastach Europy Zachodniej, na które powołują się zwykle smogowi aktywiści miejscy, bo tam zanieczyszczenia są dziesięciokrotnie mniejsze niż w naszych aglomeracjach, z problemem zaczęto walczyć dziesięciolecia temu. Krok po kroku, rozwijając transport publiczny, a nie robiąc bezsensowne rewolucje na nieprzygotowanym gruncie.

Najlepszym przykładem braku myślenia o mieście jest warszawska zielona Białołęka, osiedle zamieszkiwane przez dziesiątki tysięcy ludzi. Wszyscy oni z powodu autobusów jeżdżących co kwadrans muszą korzystać z własnych samochodów. A to dlatego, że gdy osiedle już stało, stolica zamiast pociągnąć tam metro, wolała je przedłużyć w miejsce, gdzie od ponad pół wieku jest pięć linii tramwajowych. Dzięki takim geniuszom tysiące ludzi odpala codziennie auta i dyma nimi do centrum Warszawy. Ci zaś, którzy dotychczas mogli dotrzeć pod Pałac Kultury w ciągu 25 minut tramwajem, mogą teraz zrobić to samo albo nim, albo metrem.

Kilka tysięcy samochodów mniej w centrum, przy dobrym skomunikowaniu tylko jednego osiedla z miastem, to więcej niż liczba złomków, które zatrzyma warszawska piarowska wydmuszka ekologiczna o nazwie Strefa Czystego Transportu.

TADEUSZ JASIŃSKI

zaczęła działać. Ja nie wiem jak. Czary to na pewno nie były. Po prostu ta kobieta od pokoleń uczona – jedna baba uczyła drugą babę – potrafiła naprawiać ręce. Kiedyś tak było" – opowiadał, a tzw. demokratyczna opozycja zaśmiewała się nad debilizmem Konfy i jej wyborców. Wyciągano jej z list co większych pokurwieńców: antyszczepionkowców czy płaskoziemców. I słusznie. Ale gdy po słusznej stronie pojawia się materiał podobnie odjechany, zapał do śmieszkowania stygnie.

Gdy mieliśmy do czynienia z kurator Barbarą Nowak czy innymi Pawłowiczami, wiedzieliśmy, po czym stąpamy i czego możemy się spodziewać. Narybek X kadencji sejmu jest na razie nieprzewidywalny. Przysporzy nam jeszcze wielu niespodzianek i nie pozwoli się nudzić.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

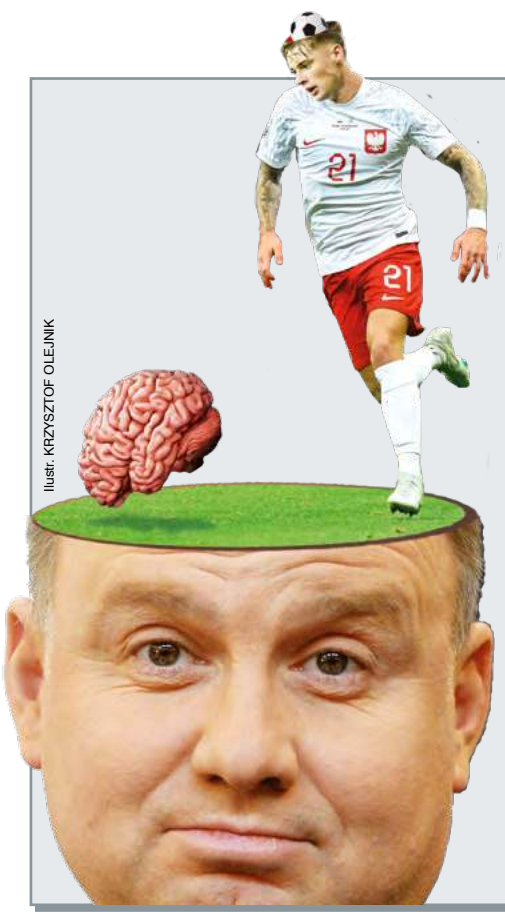

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Nicola Zalewski po remisie reprezentacji Polski w piłce nożnej z Czechami: „Zagraliśmy dobry mecz".

Andrzej Duda po zwycięstwie opozycji w wyborach parlamentarnych: „Tusk nie będzie moim premierem".

Zalewski jest piłkarzem. Po pogrzebaniu szans Polski w eliminacjach do mistrzostw Europy nie powinien mówić idiotyzmów, ale jeśli mówi, to łatwo mu wybaczyć. Młody jest (21 lat), głupi, jeszcze się podciągnie.

Duda jest prezydentem sporego kraju w środku Europy. Po tym, jak formacja, z której się wywodzi, przerżnęła wybory, zachowuje się i mówi jak niespełna rozumu. Tekst o Tusku, który „nie będzie jego premierem", jest najlepszym przykładem politycznej odklejki prezydenta. Duda nie jest taki młody (51 lat) i już się raczej nie podciągnie; idiotyzmy mówił, mówi i będzie mówił, obojętne – z Mastalerkiem czy bez.

ETYKA BEZBOŻNA

Czy wolno nie lubić Polaków?

Ależ oczywiście, każdy może sobie lubić bądź nie lubić, kogo chce, jeżeli w ogóle ma na to wpływ. Wszak emocje to emocje – serce nie sługa. No ale żeby nie lubić akurat nas? A niby dlaczego? Coś się nie podoba? To może pogadamy na podwórku przy śmietniku?

Sprawa nie jest niewinna. Ludzie w zasadzie nie bardzo się lubią i nie bardzo sobie ufają. Z dość nielicznymi wyjątkami wspólnoty ludzkie – od plemion po narody, grupy wyznaniowe i rasowe – są ze sobą silnie zantagonizowane. Antagonizmy te są tym silniejsze, im bliżej rywalizujące ze sobą wspólnoty są ze sobą związane, na przykład poprzez zamieszkiwanie na tym samym terytorium. I nie ma tu wielkiego znaczenia, czy pod względem kulturowym różnice są duże czy małe. Czasami animozje występują właśnie na tle małych, lecz irytujących różnic, a innym razem wywołane są nieprzezwyciężalnym wzajemnym poczuciem obcości i skłonnościami do izolowania się. Co gorsza, rywalizacja i konflikty stanowią doskonałą pożywkę dla ideologii służących konsolidacji wspólnoty, które dziwnym trafem umacniają potęgę polityczną ideologii jej głosicieli. Wiele nowoczesnych narodów narodziło się z nieprawego łoża nienawiści i wrogości do narodów sąsiedzkich, podsycanej przez nacjonalistycznych przywódców. Łatwiej zrozumieć, kim jesteśmy „my", jeśli wskaże się jednocześnie na wrogich „onych", od których różnimy się wiarą, językiem lub wyglądem i którzy uczynili nam wiele krzywd.

Wrogość nieraz bywa ceną za wspólnotę. A powodów do waśni zawsze będzie dość. Dajcie tylko naród do pogardzania, a motyw się znajdzie. Może nim być jakieś faktyczne wydarzenie z przeszłości, lecz całkowicie wystarczy kłamliwa legenda albo całkiem bajkowy mit o jakieś dawnej krzywdzie, jakiejś bitwie sprzed stuleci, o cudotwórcy bądź herosie czy też jakimś zaginionym królu powracającym z niewoli „od nich". Naprawdę niewiele trzeba, żeby wywołać w ludziach wrażenie wyjątkowości i miły sercu patos towarzyszący poczuciu krzywdy, która przecież musi zostać pomszczona. Nacjonaliści wszech nacji grzmią o niewoli i wyzwoleniu spod tej niewoli, o rachunkach krzywd, które trzeba wyrównać itd. W tyradach tych prawda miesza się z kłamstwem i legendą w proporcjach, których zwykły człowiek zupełnie nie jest w stanie wymierzyć. Krytyczny stosunek do nacjonalistycznych narracji jest przywilejem nielicznych osób porządnie wykształconych, a jednocześnie wyćwiczonych w takich zaawansowanych sprawach jak analiza logiczna czy argumentacja etyczna. Demagodzy mogą spać spokojnie – niewielu potrafi im się przeciwstawić. Dlatego po dwóch stronach granic dzielących tzw. państwa narodowe bez przeszkód robią sobie kariery nacjonalistyczni nienawistnicy i populiści, opowiadając skrajnie sprzeczne wersje tych samych zdarzeń. „Oni na nas napadli i gwałcili nasze kobiety!" – można usłyszeć po obu stronach. „Zagarnęli nasze ziemie!" „Stawiają pomniki zbrodniarzom mordującym naszych!" I im mniejszy i nowszy na arenie dziejów naród, tym więcej w nim zwykle tej wrogości do sąsiadów i pogardy dla nich.

Nacjonalizm ma już w niektórych przypadkach blisko dwieście lat, więc tu i ówdzie się wypalił. Francuzi i Niemcy mogą już się śmiać z gorącej nienawiści, która pchała ich do niepojętych w swym okrucieństwie wojen przez długie dekady wieku XIX i XX. Anglicy zaś nie potrafią nawet sobie wyobrazić tych wrogich uczuć, jakie przez tyle stuleci wiązały ich diabelskimi węzłami z nacjami zamieszkującymi sąsiednie kraje za niedużą wodą. Wszystko to się już wypaliło.

Młodsze i mniej szczęśliwe narody, mające w swej zbiorowej pamięci więcej zgryzot, klęsk i upokorzeń, wciąż jeszcze hodują w sobie kompleksy, niechęci i żale do sąsiadów. Polaków również to dotyczy. Nie lubimy naszych sąsiadów, bardziej czy mniej skrycie uważając się za lepszych i ważniejszych. Sąsiedzi nie pozostają nam dłużni.

Doprawdy trudno nam znaleźć szczerych sympatyków za którąkolwiek z granic, choć można mieć nadzieję, że z Ukrainą nam się poprawi.

Generalnie z sympatią jest tak, że sympatyzujemy z tymi, którzy sympatyzują z nami. Ktoś jednakże musi zacząć. Tyle że trudno zacząć, skoro się nie lubi… Zmiana przychodzi czasem przy bliższym poznaniu, ale nie zawsze to działa, a poza tym, kto by tam chciał poznawać nielubianych i nieciekawych sąsiadów. Słowaków tyle obchodzi, co tam słychać u Kaczyńskiego albo wyczekiwany przez nas film, co nas obchodzą słowaccy bohaterowie narodowi i słowaccy wieszcze. Test „co nas obchodzi" jest okrutny, lecz w swym okrucieństwie realistyczny.

Rys. OBYWATEL JANEK

Nie, nie lubimy nikogo specjalnie lubić i nie jesteśmy specjalnie lubiani. Nie tylko my, wiele narodów tak ma. Nie ma sympatii, nie ma podziwu, nie ma zainteresowania. Strasznie to przykre i jakoś niesprawiedliwe. Zmienić to można tylko w jeden sposób. Musimy się stać społeczeństwem bardziej otwartym, wykształconym, samokrytycznym i tolerancyjnym. Okazując autentyczne zainteresowanie sąsiadom, okazując im uznanie za ich sukcesy, po prostu ciekawiąc się tym, co za miedzą, sami wyzbędziemy się uprzedzeń i kompleksów, oni zaś odpłacą nam tym samym.

Mimo że wydaje się to bardzo odległe i trudne do wyobrażenia, wierzę, że kiedyś Polak, otwierając polską gazetę, będzie chciał przeczytać, co poprzedniego dnia wydarzyło się ważnego w Bratysławie albo Dreźnie, a Niemiec i Słowak dobrze będą wiedzieć, jak się nazywa polski premier i jaka piosenka jest dziś przebojem nad Wisłą. Bo przecież tak mają Niemcy z Austriakami, Francuzi z Belgami, Szwedzi z Norwegami, Słowacy z Czechami, Estończycy z Finami… A bo my gorsi? Ciepłe i bliskie relacje są czymś kluczowym dla szczęścia osobistego. Dla szczęścia narodów również!

JAN HARTMAN

eprasa.pl 2147609d46

Problemy z głowy

Czy bardziej mamy, czy bardziej jesteśmy?

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Do napisania tego felietonu, jakim tekst ten przypuszczalnie się stanie, co zakładam, chociaż przecież po napisaniu 160 znaków nie mogę wiedzieć, czy w istocie tak będzie, zainspirowała mnie szanowna „Gazeta Wyborcza". W sobotę 17 listopada doniosła o tragicznym wydarzeniu z Szumska, wsi położonej w województwie mazowieckim w powiecie mławskim w gminie Dzierzgowo, o którym napisała w zasadzie tylko tyle, że „znaleziono tam młodą kobietę (lat 45), która miała uciętą głowę".

Yhm?! Ja napisałbym raczej, że w średnim wieku, ale bardziej chodzi o to, czy kobieta mogła mieć odciętą głowę, skoro ta głowa była już ucięta, czyli jakby już nie należała do owej kobiety. Czy można mieć głowę, której się nie ma? – nasuwa się fundamentalne pytanie. Może to zwykła niezręczność językowa „kobieta miała uciętą głowę"? Trafniejsze wydaje się sformułowanie, że znaleziono ciało kobiety w średnim wieku bez głowy.

A może rzeczywiście miała ona głowę tylko odciętą, na tej samej zasadzie, że jeżeli ktoś utnie mi rękę, to mogę ją mieć, tyle że odciętą, choć nadal jest to moja ręka? Z kolejnej nasuwającej się wątpliwości musimy wydedukować, czy ciało kobiety bez głowy, zasadniczo zatem nieżywej, nadal jest kobietą w semantycznym słownikowym rozumieniu słowa „kobieta": „dorosła przedstawicielka gatunku *Homo sapiens* o płci żeńskiej". „Wielki słownik języka polskiego" PWN rzeczywiście nie rozstrzyga, czy musi być żywa, czy niekoniecznie.

Jakkolwiek te niedomówienia, nadmówienia i przeinaczenia mogą być zwykłymi omyłkami, to takie omyłki nie są wszak bezprzyczynowe. Wyjaśnianie ich tylko potocznym traktowaniem (czyli byle jakim) języka polskiego przez współczesnych dziennikarzy raczej nikogo nie satysfakcjonuje.

Mieć czy być?

Więc pójdźmy dalej, aby rozwinąć pospolite rozróżnienie na to, kim człowiek jest, a co człowiek ma. Zwróćmy uwagę na pewne oczywistości językowe, które są bardzo ważne, ale przez tę swoją oczywistość w ogóle niedoceniane. Otóż mówię „mam ręce" i są to moje ręce, „mam nogi" i są to moje nogi, „mam palce oraz żołądek, płuca i genitalia" i to chyba jest prawidłowe, ponieważ nikt, sądząc po mnie samym, nie utożsamia się z tymi posiadanymi narządami i organami ciała.

Ale idąc dalej, zauważamy, że mamy głowy, w których mamy mózgi, i co by tu nie gadać, z zeznań wielu świadków wynika, że na pytanie „gdzie jesteś?", odpowiadają, że gdzieś w głowie (vide Marek Raczkowski, rysownik). Też mam takie wrażenie, że jestem w głowie. Oczywiście nie jestem też mózgiem. Mam mózg. Gdyby mój mózg znalazł się w słoiku pracowni patomorfologii kryminalnej, byłby to tylko mój mózg, a nie ja we własnej osobie.

Nasze mózgi, twój i mój, same w sobie nie są nami. Nabywają przypuszczalnie taką osobniczą właściwość, kiedy są umysłami, czyli w ich białkowej substancji zachodzą procesy biologiczne, chemiczne, elektryczne, które z materialistycznego punktu widzenia ordynarnie nazwać by można energetycznymi.

Królowie nauki

W swoim dziennikarskim żywocie miałem do czynienia z przedstawicielami różnych nauk. Niby na marginesie, zawsze niby mimochodem zadawałem pytanie: „Ale panie profesorze, która nauka jest pana zdaniem najważniejsza?". „Oczywiście biologia! Poświęciłem jej wszak całe życie" – twierdził profesor biologii. Wszystko, co żyje, jest biologią. Zasadniczo Mars, dajmy na to, nie jest ważny, bo jest martwy, zatem nie istnieje nawet w swym własnym mniemaniu, bo nie ma takiego mniemania. Ważne jest tylko to, co żyje, bo faktycznie nieżywego nie ma.

„Ale ta biologia, to jest jakby taka chemia trochę? Czy potraficie rozważać zjawiska biologiczne w powiązaniu z reakcjami chemicznymi?" – dociekałem. „W ograniczonym stopniu" – wyjaśnił profesor.

Kiedy to samo pytanie zadawałem profesorowi chemii, to ten jakby się umówił z tym poprzednim: „Najważniejsza jest chemia! Wszechświat to chmury atomów pierwiastków chemicznych. Wszystko jest z nich zbudowane. Nie ma zatem nic ważniejszego". „No, panie profesorze… te wirujące elektrony w atomach to wszak jest fizyka! Czy potraficie rozważać zjawiska chemiczne w kontekście fizyki?" – pytałem. „W jakimś stopniu oczywiście tak" – padała odpowiedź. Ale w jakim, o to już pytałem profesora fizyki, który również jakby wychował się z poprzednimi profesorami w tym samym przedszkolu: „Fizyka jest królową nauk, ponieważ wszystko opiera się na fizyce. Wszelkie oddziaływania między materią i energią, czyli zasadniczo wszystko, co się wokół dzieje, da się zinterpretować na gruncie fizyki". „Zapewne ma pan profesor na myśli interpretację matematyczną, bo bez niej żadne rozumowanie fizyczne nie byłoby możliwe" – naciskałem.

Czy zatem nie matematyka jest najważniejsza? O to już zapytałem doktora habilitowanego od rachunków. Jak się zapewne domyślacie, odpowiedź była taka sama, że to, co robi, ma pod sobą wszystkie inne obszary nauki.

Podobne przeświadczenia o swojej dominującej roli mieli uczeni w polityce, socjologii, językoznawstwie, medycynie, a nawet prawie podatkowym. Niezbicie i święcie przekonani o wyższości swojej dyscypliny naukowej nad każdą inną. To jest oczywiście powód, dla którego lubię dowalać naukowcom.

Jak naprawdę jest, nikt nie wie

Poza niewątpliwą arogancją wynikającą z tych stanowisk dowodzą one jednego: że z punktu widzenia współczesnej wiedzy możemy wyjaśniać działanie naszych umysłów całkiem prawidłowo na różnych niezależnych poziomach, ignorując zupełnie wszystkie pozostałe. Nie potrafimy jednak wskazać związków między tymi równolegle i paralelnie dziejącymi się procesami (biologiczno-chemiczno-fizyczno-matematycznymi), które dzieją się z całą pewnością.

Uzasadnione zatem wydaje się pytanie o sprawę wielce istotną.

Organizm każdego z nas zbudowany jest z 3,5 biliona żywych komórek. Te komórki składają się z 17 razy 10 do osiemnastej potęgi liczby atomów (nie mamy nazwy dla takiej liczby). Na ile możemy tym kierować, mając o tym bardzo blade pojęcie?

Móc chcieć

Stąd fundamentalne zagadnienie człowieczeństwa dotyczy zakresu naszej tak zwanej wolnej woli, którą – jak mamy nadzieję – posiadamy. Antoni Macierewicz jest oczywiście wariatem w zakresie dobrowolnego manifestowania swoich świadomych myśli na zewnątrz organizmu, ale ile w jego cudownym ludzkim ciele odbywa się wspaniałych, mądrych i roztropnych zjawisk między tymi komórkami i atomami, o których ani on, ani my nie mamy żadnej świadomości! Jakże skomplikowane reakcje między pamięcią a fizyką oraz chemią odbywają się, kiedy Macierewicz oddaje mocz na stojąco lub siedząco! Jakaż to niesamowita kohezja zjawisk, której harmonii nie można odmówić!

Skąd zatem takie ogólne przeświadczenie, że nasze świadome działania umysłowe, które zaprzątają jakieś 0,5 proc. naszych szarych komórek i stanowią podobny odsetek wszystkich działań intelektualnych, poddają się naszej woli, skoro ich 99,5 proc. nie ma żadnego związku z wolicjonalnością? Nie mogę tego zrozumieć, że na przykład zostałem poddany publicznej naganie za to, że będąc nastolatkiem, włożyłem koledze głowę do klozetu i uruchomiłem rezerwuar. Czy ja i ktokolwiek inny mógłby być za to w ogóle odpowiedzialny wobec ogromu i miażdżącej przewagi nieodpowiedzialności i bezwiedzy, która powoduje innymi moimi poczynaniami? Czy tak naprawdę jesteśmy w stanie czymkolwiek kierować, skoro nawet nie mieliśmy wpływu na wybór rodziców, domu czy szkoły podstawowej, które wszak bardzo generalnie determinują nasze możliwości lub ograniczenia.

Świat poza fizyką

Wróćmy jednak do sprawy tej kobiety, która „miała odciętą głowę". Przyjmijmy, że dziennikarka jednak napisała prawdę, choć nie na zasadzie wiedzy, ale, powiedzmy, intuicji. Z uczciwości intelektualnej, choć przy pewnej politycznej niepoprawności w stosunku do wyznawanych przez lewicę do końca ubiegłego wieku materialistycznych przekonań, będących obecnie już nieco passé, trzeba powiedzieć, że byłoby to możliwe, gdyby kobieta ta istniała całkowicie w oderwaniu od jej fizycznego organizmu. Wniosek taki jest poprawny semantycznie, tyle że nadal żyjemy w czasach sporów, czy taka sytuacja jest technicznie możliwa.

Poważną przeszkodą w rozstrzygnięciu tego problemu dla Europejczyka jest wyhodowana przez stulecia naszej cywilizacji, niespotykana w cywilizacjach pozaeuropejskich wrogość między światopoglądem religijnym a naukami w rozumieniu akademickim.

Wzajemnie zwalczające się stanowiska pozostają w stanie tak nienawistnej wrogości, że kompromis jest niemożliwy. Oczywiście kiedy rozmawiałem z profesorami teologii (tak, tak, są tacy!), to przecież dla nich nie ma nic ważniejszego ponad teologię, bo „któż, jak nie Bóg?!". Niczym zatem teologoznawcy nie różnią się od innych profesorów.

Gdyby spróbować jednak dokonać niemożliwego i zastanowić się, czym owa kobieta mogłaby być, przychodzi mi do głowy jeden wyraz: „dusza". Czym takowa mogłaby być, jeżeli np. to, co Freud nazywał jaźnią, nie jest wytworem zjawisk odbywających się między 100 mld neuronów, jakie posiadamy pod czaszką? Owa dusza musiałaby być, a w zasadzie musiałaby nie być, ani materialna, ani energetyczna. Jest tylko jedno zjawisko spełniające ten postulat: informacja. Informacja nie jest ani materią, ani energią.

Widzimy na przykład barwy i słyszymy dźwięki, choć w rzeczywistości są to tylko drgania. Te drgania przenoszone mogą być przez tak różne środowiska, że nawet w pewnym momencie przestają być drganiami, niosąc informację (bo nie ma lepszego słowa), która nie ma żadnej formy. Łatwo sobie wyobrazić, jak można istnieć bez żadnej formy. Liczby i matematyka istnieją niezależnie od naszego umysłu i w ogóle czegokolwiek.

Urban wiecznie żywy

Ten pomysł przyszedł mi do głowy, ponieważ bardzo niedawno spotkało mi się z Jerzym Urbanem, co do którego mamy wiedzę, że nie żyje. Redaktor siedział przy jakimś stole w czymś, co mogło być wczasową świetlicą. Udzielał wywiadu. Zapytałem, czym się teraz zajmuje. Odparł, że naucza angielskiego. Zdziwiło mnie to wielce, ponieważ biegłość Szefa w tym języku nie pozwalała mu na dogadanie się nawet z kelnerem. Nie drążyłem tematu, obawiając się, że może to być troszeczkę niegrzeczne. Potem się obudziłem.

Jakkolwiek by na to patrzeć, był to fakt psychiczny, którego oczywiście nie da się inaczej zweryfikować niż tylko przez zeznanie jedynego świadka, czyli mnie, przez co staje się on wielce nienaukowy z punktu widzenia współczesnej metodologii badawczej w każdej chyba dyscyplinie z wyjątkiem teologii (oni tam znają osobiste objawienia). Jednak nie mogę go również ignorować, bo uprawiam dziennikarstwo, w którym ignorowanie faktów jest przestępstwem największym.

Konkludując: nie mam żadnej pewności, czy ta kobieta była bez głowy, czy może miała głowę bez pozostałej części korpusu (można wszak było napisać, że znaleziono kobietę z odciętym korpusem), czy może jednak w ogóle jej nie było.

Nie chciałbym również rzec, że wszystko, co napisane powyżej, sam sobie wymyśliłem, bo dziennikarze nie zajmują się sprawami wymyślania. W gruncie rzeczy jest to kwerenda najnowszych osiągnięć nauki bez przywoływania źródeł i przypisów (bo byłoby ich zbyt dużo) mająca na celu wyjaśnienie, że stan naszych wyobrażeń w wielu sprawach zmienił się diametralnie przez ostatnie 50 lat.

„Duch nie spadł z nieba" to tytuł książki, którą napisał w 1976 r. niemiecki neurolog i psychiatra Hoimar von Ditfurth i która stała się kultową pracą popularnonaukową mojego pokolenia. Oczywiście, że nie spadł – to już wiemy. Tyle że to nie oznacza, że on nie istnieje, co przyznają już również uczciwi rasowi ateistyczni myśliciele pokorni wobec ogromu naszej niewiedzy i braku świadomości.

A co do tej wolnej woli: osobiście jestem pewien, że jest ona możliwa w jednej kwestii. Możemy być uprzejmi dla siebie nawzajem wyłącznie siłą chcenia. Co do innych naszych zdolności władczych – tego nie wiem.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl 2147609d46

Wielki imperator Wojtyła

JP2 na arenie międzynarodowej.

Jak wiadomo od Hegla, sowa bogini mądrości Minerwy wylatuje o zmierzchu. Im bardziej realna postać polskiego papieża zaciera się w pamięci, przygnieciona brzydkimi jak noc pomnikami i opowieściami o tym, jak Lolek chodził na kremówki, tym więcej zapachów z watykańskiej kuchni z jego czasów dociera do Polaków. A nie pachnie to bynajmniej Diorem ani tym bardziej świętością, lecz smrodem obrzydliwych knowań politycznych, grubej forsy przechodzącej z rąk do rąk pod stołem, absurdalnej wrogości wobec gumek, niosącej w Afryce śmierć z powodu AIDS, tuszowania pedofilii.

Reporter Mirosław Wlazły w książce pod dwuznacznym tytułem „Nie nasz papież. Pontyfikat Jana Pawła II na świecie" opisuje działalność Wojtyły na arenie międzynarodowej. Odwiedza kilka krajów latynoamerykańskich (Brazylię, Meksyk, Salwador) i europejskich (Szwajcarię, Belgię, Włochy i Liechtenstein). Co ciekawe, jak pisze autor, podjął się on opisania epoki JP2 w perspektywie od wewnątrz, „ustami ludzi Kościoła i o Kościół zatroskanych – nie tylko tych, którzy krytycznie oceniają ten okres po latach, lecz także tych sceptycznie wypowiadających się o nim już w jego trakcie".

To ciekawa i bardzo pouczająca perspektywa, pokazująca, ile polski papież ma za uszami. I to nie wedle osobistych wrogów Pana Boga, lecz tych, którzy sami mienią się katolikami, ale przed „świętym" Wojtyłą nie padają na kolana, lecz punktują go celnie jak przeciwnicy Najmana.

Antykomunistyczna mania

Jak wieść gminna niesie, człowiek wyjdzie ze wsi, ale wieś z człowieka – nigdy. To samo powiedzieć można o Wojtyle: wyszedł z tych Wadowic, Krakowa, Polski, ale właśnie tam został (na dobre, ale raczej na złe) ukształtowany. I wiedział jedno: realny socjalizm, choć w takiej Polsce wiodło się klerowi, przynajmniej materialnie, całkiem, całkiem, to zło wcielone.

Dla Wojtyły marksizm, nie tylko w odmianie oficjalnej wykładni marksizmu-leninizmu, stanowił ogromne zagrożenie dla katolików na świecie, promuje bowiem bezecny sekularyzm, zepchnięcie religii do kruchty. Komuniści prześladowali Kościół, toteż, jak pokazała praktyka, jeśli kler wespół z prawicowymi zamordystami trochę prześladuje komunistów (prawdziwych czy urojonych), wszystko będzie w najlepszym porządku. A jeśli z lewakami, czy w ogóle z biedakami, bratają się duchowni katoliccy, to hierarchowie nie tylko nie kiwną palcem, gdy znajdą się na celowniku szwadronów śmierci, a w skrajnych przypadkach chętnie będą na nich szczuli morderców.

Dokładnie tak było w Salwadorze i to zanim abp Óscar Romero poniósł męczeńską śmierć. Gwoli ścisłości: kiedy Romero pojechał w 1979 r. do niedawno obranego papieżem Wojtyły, miał cały karton dokumentów. Usłyszał od JP2 obcesowe słowa: „Mówiłem już, żebyś nie przyjeżdżał obładowany tyloma papierami. Tutaj nie mamy czasu ich czytać". Pokazał Wojtyle, temu słynnemu wrażliwcowi, fotografię duchownego, który miał twarz zmiażdżoną przez koła opancerzonego pojazdu, a szyję rozciętą maczetą. Papież zastanawiał się, czy jednak zamordowany faktycznie nie był partyzantem, o co oskarżał go prawicowy reżim. Miał też garść dobrych rad, takich jak polepszenie relacji Romera z rządem: „Najbardziej chrześcijańska w tych chwilach kryzysu będzie teraz harmonia między tobą a rządem Salwadoru". Wojtyła nakazał też, aby arcybiskup z Salwadoru był „bardzo zrównoważony i ostrożny, szczególnie w przypadku przedstawiania konkretnych oskarżeń, by bardziej koncentrował się na najważniejszych zasadach, bo ryzykowne byłoby popełnianie błędów i doprowadzanie do nieporozumień przy rzucaniu personalnych oskarżeń".

Kiedy w Salwadorze giną kolejni duchowni katoliccy, Watykan milczy. I nie dziwota, bo miejscowi konserwatywni purpuraci wciąż zapewniają, że nikt nie prześladuje Kościoła, a chrześcijański rząd po prostu dba o spokój. Ale nieprawda, że JP2 nic nie robi. Robi. Wysyła swojego człowieka, aby… sprawdził styl pracy Romera. Bo dla Wojtyły nadrzędną zasadą, jaką się kierował, było ślepe posłuszeństwo wobec instytucji, na której czele stał on sam. Wielki, szlachetny i nieomylny.

Ręka w rękę z CIA

Nic tak nie jednoczy jak wspólny wróg. Ta powszechna wiedza idealnie sprawdziła się po II wojnie światowej, gdy Watykan zaczął współpracować z USA, łącznie z braniem kasy od CIA. A wszystko to, aby zwalczać komunizm, a raczej wszystko, co miało cokolwiek wspólnego z troską o ubogich, myśleniem kategoriami równości społecznej i ekonomicznej. Co ciekawe, duchowni katoliccy byli agentami USA w Ameryce Południowej. Dosłownie.

Już od lat 60. belgijski jezuita Roger Vekemans łyka miliony dolarów od CIA i powiązanej z wywiadem Agencji Stanów Zjednoczonych do spraw Rozwoju Międzynarodowego. Vekemans, pisze Wlekły, oficjalnie „zajmuje się w Chile rozwojem społecznym, nauczaniem analfabetów, wspieraniem uciskanych. Zakłada Centrum Badań i Działań Społecznych, Szkołę Socjologii, rozwija prasę katolicką. Jego głównym zadaniem jest jednak zablokowanie dojścia do władzy lewicowego kandydata na prezydenta Chile". Jezuita jest nader skuteczny – na życzenie amerykańskich mocodawców udaje mu się w 1964 r. doprowadzić do prezydenckiego fotela chadeka Eduarda Freia Montalvę.

Spekuluje się, że być może USA potajemnie wspierały Wojtyłę na konklawe w październiku 1978 r. jako przedstawiciela największego kraju katolickiego w Europie znajdującego się pod radzieckim butem. Kanałami wpływu były Opus Dei i Zakon Kawalerów Maltańskich.

Vekemans przenosi się do Kolumbii. Współpracuje z bp. Alfonsem Lópezem Trujillo, sekretarzem Rady Biskupów Ameryki Łacińskiej. Celem jest powstrzymanie teologii wyzwolenia, opcji na rzecz ubogich, oddolnego organizowania się katolików, w skrócie: wszystkiego, co podważało Kościół służący możnym i potężnym. Agent CIA nie wszystkim się spodobał, ale Wojtyła zamknął buzię wszystkim krytykom Vekemansa, gdy „pieczę nad Kościołem w Medellín powierza Lópezowi Trujillo. Odtąd hierarcha, być może największa bestia z przyszłego otoczenia papieża Polaka, nie musi się już kryć ze swoimi zamiarami. W Ameryce Łacińskiej staje się głównym żołnierzem Jana Pawła II na froncie walki z komunizmem".

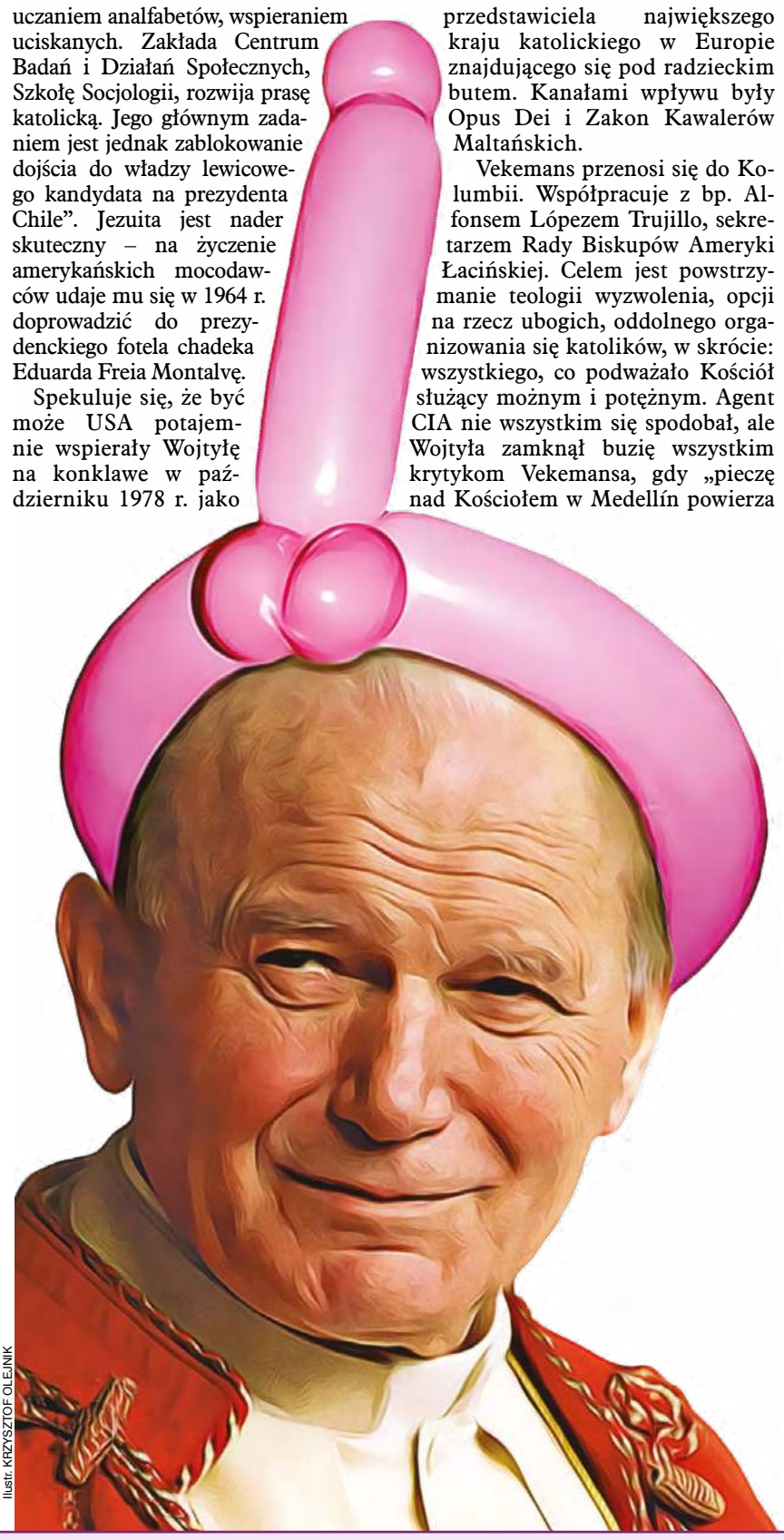

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Czarna rozpacz na Czarnym Lądzie

Nomen omen czarną kartę zapisał pontyfikat Wojtyły w Afryce, ponieważ tradycyjne plemienne zwyczaje weszły w potencjalnie zabójczą relację z nakazami Kościoła katolickiego. Bo generalnie w Afryce, jeśli żona nie da dupy mężowi, ten może się na nią poskarżyć ciotkom lub starszyźnie wioski, co negatywnie odbije się na małżeństwie. A nauczanie JP2 w dziedzinie seksualności było proste jak budowa cepa – albo stosujesz metody naturalne (to pojęcie samo w sobie jest manipulatorskie i absurdalne, ale to opowieść na inną okazję), albo grzeszysz.

Wojtyła sam się mianował specem od seksu i miłości, autorytetem w dziedzinie intymności dla milionów katolików, zwłaszcza poza Zachodem, gdzie nawet pobożne katoliczki często stosowały pigułkę. Nie miał pojęcia, jak destrukcyjnie wpłynie to na życie Afrykanek.

Oddajmy głos Wlekłemu: „Zgodnie z powszechnie przyjętymi w Afryce normami etyki seksualnej tylko kobieta ma obowiązki: z jednej strony – powstrzymywania się w uzasadnionych przypadkach od seksu, z drugiej – wierności w małżeństwie. Abstynencja dotyczy okresu menstruacji i połogu. Abstynencji i wierności, w odróżnieniu od kobiet, nie oczekuje się od afrykańskich mężczyzn. W wielu miejscach ich stosunki seksualne z innymi kobietami wciąż są powszechnie akceptowane".

Kiedy wybuchła budząca grozę epidemia AIDS, polski papież uznał, że katolicy nie mogą stosować chroniących przed zakażeniem prezerwatyw, bo Bozia by się obraziła. Śmierć w męczarniach wiernych żon (zarażanych przez rozwiązłych mężów) i dzieci jakoś Bozi – wedle JP2 – nie obrażała…

Priorytety Wojtyły

Wlekły wykonał tytaniczną pracę, jeżdżąc po świecie i rozmawiając z ludźmi. Uważnie ich słuchając, nawet jeśli mówili rzeczy, które wielu w naszym kraju bardzo się nie spodobają.

Mam tylko jedną uwagę.

Nie jest prawdą, że Wojtyła nie miał ręki do ludzi. Albo jest co najwyżej częściową prawdą. Bo nie ulega wątpliwości, że popierał najgorsze kanalie, seksualnych drapieżców i obrońców pedofilów – są na to kwity, zeznania, niepodważalne doniesienia medialne i książki (także dostępne w języku polskim).

Ale dla niego liczyło się, że będą oni – i tu się nie pomylił – wdrażać jego agendę. Walczyć z komunizmem, ruchami postępowymi i każdym, kto by bruździł Watykanowi, a także sprzeciwiał się antykoncepcji i aborcji. Bo każdy ma swoje priorytety…

ZUZANNA JURCZYŃSKA

WIEŚCI Z KRUCHTY

Rys. OBYWATEL JANEK

✚ „Kościół wypowiada się krytycznie wobec procedury in vitro, gdyż dopuszcza ona poczęcie ludzkiego życia nie drogą naturalną, ale w wyniku medycznego eksperymentu, który zakłada selekcję, a nawet zniszczenie zbędnych embrionów, a samej niepłodności nie leczy" – przypomina nowemu marszałkowi sejmu Szymonowi Hołowni Katolicka Agencja Informacyjna. A to po złożeniu przez Lewicę do laski marszałka projektu ustawy mającej pozwolić na finansowanie przez państwo in vitro. „Jest to moralnie nie do przyjęcia" – dodaje portal. Co na to moralność Hołowni?

✚ Abepe Stanisław Gądecki, metropolita poznański, napisał do papy Franciszka list otwarty „Tezy niemieckiej Drogi Synodalnej otwarcie sprzeczne z nauczaniem Kościoła". Chodzi m.in. o błogosławieństwo dla par jednopłciowych. Wg Gądeckiego nie mogą być błogosławione, skoro żyją w grzechu.

✚ „Kościół tłumaczy, że prawne uznanie związków homoseksualnych jest przeciwne katolickiej doktrynie moralnej i prawu naturalnemu – w związku z czym jest to rzecz niedopuszczalna" – wyjaśnia swoim czytelnikom analiza Katolickiej Agencji Informacyjnej. „Relacje tego typu nie wynikają z prawdziwej komplementarności uczuciowej i płciowej i nie pozwalają na spłodzenie potomstwa" – dodaje KAI. Strach polskiego Kościoła przed tym, co ogłosi papież Franciszek w tej sprawie, ma naprawdę wielkie oczy.

✚ Episkopat Polski „zapomniał" ze swoich gremiów odwołać bepe Stefana Regmunta, byłego ordynariusza diecezji zielonogórsko-gorzowskiej. Dwa lata temu został on przez Watykan ukarany za zaniedbania, jakich dopuścił się przy wyjaśnianiu spraw dwóch podległych mu księży, którzy skrzywdzili seksualnie osoby małoletnie. Hierarsze zabroniono udziału w wydarzeniach publicznych na terenie diecezji zielonogórsko-gorzowskiej, zakazano mu także „udziału w gremiach Konferencji Episkopatu Polski" oraz nakazano finansowe wsparcie działań, jakie diecezja podejmuje na rzecz osób pokrzywdzonych. Okazało się, że wbrew postanowieniom Watykanu hierarcha wciąż pozostaje członkiem Komisji Rewizyjnej KEP oraz Komisji Nadzorczej Caritas Polska. Hierarcha dostał też niedawno od kumpli z Kościoła medal Milito Pro Christo (Walczę dla Chrystusa), przyznawany osobom, które „dają świadectwo najwyższym wartościom".

✚ 13 listopada w Garczegorzu w gminie Nowa Wieś Lęborska (województwo pomorskie) odbywał się pogrzeb noworodka, który urodził się martwy. Na cmentarzu zebrali się żałobnicy i pracownicy domu pogrzebowego, ale brakowało księdza, który miał prowadzić ceremonię. Duchowny dotarł dopiero po telefonie z domu pogrzebowego. Przywiozła go jedna z parafianek, ponieważ ksiądz miał stracić prawo jazdy przez to, że prowadził samochód pod wpływem alkoholu. „Aniołek śpi, to ja też spałem" – powiedział rodzinie, gdy wszedł na cmentarz. Potem trochę bełkotał. Okazało się, że jest nawalony. Wezwano policję, która ukarała księdza mandatem w wysokości 500 zł za „podejmowanie czynności służbowych lub zawodowych pod wpływem alkoholu".

✚ 34-letni ks. Sebastian M. (z parafii św. Zygmunta w Łosicach) został oskarżony o gwałty na parafiance. Ofiarę miał gwałcić we własnym samochodzie. W tym czasie kapłan studiował w Lublinie. Jego ofiarą padła nastolatka ze wsi Drelowo. Pokrzywdzona powiadomiła o swoim koszmarze siedleckiego biskupa. Ten zaś prokuraturę. Za te niedopuszczalne ohydztwa ksiądz usłyszał w kwietniu 2023 r. wyrok pięciu lat bezwzględnego mamra. Okazuje się jednak, że odwołał się od wyroku i właśnie wyszedł z aresztu. Czekając na apelację, wpłacił niemałą kaucję: 300 tys. zł. Ładny pieniądz jak na młodego w sumie księdza.

✚ No i nieoceniony ks. Michał Woźnicki. Ostatnio skarżył się na kazaniu, że spotkał na ulicy znajomego sprzed lat i zdziwił się, że ten udawał, że się nie znają. „Modliłem się za niego, żeby znalazł żonę, żeby pracę też znalazł [...]. Rozmawialiśmy z wielką życzliwością nie raz" – żalił się ksiądz słuchaczom swoich homilii. „Jeżeli już mówisz, Michale Woźnicki, o nienawiści, to zacznij od siebie. To w tobie jest jej najwięcej do wszystkich ludzi na świecie. Wszystkich oczerniasz i obmawiasz. Niech cię nie dziwi, że ludzie cię omijają i udają, że cię nie poznają. Dałeś się poznać wszystkim ze złej strony" – odparowała mu pod internetowym zapisem mszy jedna z komentujących osób.

KLECHA

eprasa.pl 2147609d46

Wrzód na dupie edukacji

Polska jest krajem, który płaci nauczycielom za to, że na ich lekcje nikt nie chodzi.

Artykuł 25. konstytucji w ustępie 4. stwierdza: „Stosunki między Rzecząpospolitą Polską a Kościołem katolickim określają umowa międzynarodowa zawarta ze Stolicą Apostolską i ustawy”.

Pomysł, żeby do konstytucji świeckiego państwa wpisać konkordat – bo to o tę umowę wszak chodzi – to szczyt perfidii Wojtyłowej dyplomacji. Po 26 latach wskutek tego zapisu Kościół wciąż terroryzuje dyrekcje szkół i przedszkoli oraz rodziców, a dużą część dzieci zmusza do marnowania czasu na słuchanie o bzdurach.

„Może” znaczy „musi”?

Najgorsze, że ta konstytucyjna wrzutka wiąże ręce najbardziej nawet antyklerykalnemu rządowi. Rząd tworzony przez Tuska oczywiście – wbrew temu, czego chciałaby Lewica – Kościołowi krzywdy w kwestii katechez nie zrobi. Tusk na wojnę światopoglądową z nikim nie pójdzie. Ani z biskupami, ani z Hołownią czy Kosiniakiem-Kamyszem, ani też z będącym w opozycji PiS. Bo tego typu wojny go nie interesują.

I to właśnie dlatego – a nie z powodów wymyślanych przez prawników od konstytucji – z religią w szkołach nic się nie stanie.

Ci zaś przytaczają artykuł 53. konstytucji, który w ust. 4. mówi, że „religia Kościoła lub innego związku wyznaniowego o uregulowanej sytuacji prawnej może być przedmiotem nauczania w szkole, przy czym nie może być naruszona wolność sumienia i religii innych osób”. Przytoczony przepis ma niby – zdaniem konstytucjonalistów – wybić władzy z głowy myślenie o wycofaniu religii z publicznych placówek edukacyjnych. Panom profesorom albo się coś pomerdało w głowach, albo siedzą w kieszeni episkopatu. Jeśli dla nich słowo „może” znaczy to samo co „musi”, to powinni zacząć zajmować się czym innym niż prawem. Prawdziwym problemem w konstytucji jest konkordatowy zapis przytoczony na początku.

W umowie ze Stolicą Apostolską jest bowiem art. 12., w którym zapisano, że „państwo gwarantuje, że szkoły publiczne podstawowe i ponadpodstawowe oraz przedszkola, prowadzone przez organy administracji państwowej i samorządowej, organizują zgodnie z wolą zainteresowanych naukę religii w ramach planu zajęć szkolnych i przedszkolnych”.

Niefajny ten zapis powoduje, że jeśli choć jeden radiomaryjny rodzic wykaże zainteresowanie religią w szkole czy przedszkolu i zostanie wsparty przez proboszcza, mamy do czynienia z „zainteresowanymi”. I chciał nie chciał, szkoła ma religię zorganizować i wpisać ją do siatki zajęć.

Ale hola, hola… Przecież w tekście traktatu z Kościołem nie ma dwóch podstawowych rzeczy. Nie jest napisane, ile katechez ma być tygodniowo, miesięcznie czy rocznie. Jaki zatem problem, aby – zgodnie z duchem i literą konkordatu – lekcje religii były raz w miesiącu lub kwartale i trwały 45 minut?

Rys. TOMASZ WIATER

Przeprowadzenie takiego myku nawet przez najbardziej nielubiany przez prezydenta rząd jest do zrobienia w 10 minut po zaprzysiężeniu nowego ministra edukacji. Nauczanie religii w szkołach odbywa się bowiem nawet nie zgodnie z ustawą, którą Duda oczywiście by zawetował, ale zgodnie z rozporządzeniem. To zaś jest w gestii ministra. Bo właśnie rozporządzenie z 1992 r. opisuje kwestie z zakresu statusu katechetów czy obecności krzyży w szkołach, odmawiania modlitwy przed zajęciami i po nich czy rekolekcji dla młodzieży. Kilka słów wystukanych na komputerze, wydrukowanie tego i podpisanie przez ministra może spowodować, że religia będzie na ostatniej lekcji w ostatnim dniu danego kwartału.

Żeby tylko to! Rozporządzenie reguluje przecież status katechetów. Czyli i to, kto im płaci pieniądze. Konkordat o finansowaniu nauczycieli religii nie wspomina. Konstytucja tym bardziej. Gdyby zatem nowy minister skrobnął, że uczący cztery razy w roku katecheci mają być opłacani przez kierujące ich do szkół i przedszkoli instytucje wyznaniowe, to znalazłby 2 mld zł i mógłby je przeznaczyć na poszukiwanie nauczycieli matematyki, którzy oprócz oceniania sprawdzianów mogliby jeszcze umieć uczyć. Dziś bowiem państwo polskie na katechetów wydaje 2 mld zł rocznie. Olbrzymia kasa po to, żeby ok. 30 tys. osób mogło dostać wynagrodzenie za coś nikomu dziś do niczego niepotrzebnego. 17 tys. z nich to osoby świeckie, ponad 10 tys. to księża i zakonnicy, a 2000 – zakonnice.

Uczeń głosuje nogami

Przy minimum determinacji i dobrej woli nowa władza mogłaby bez uszczerbku dla konstytucji renegocjować konkordat. To wszak nie otrzymany od Boga na tablicach Dekalog, ale zwykła umowa międzynarodowa. A na dodatek rząd działałby zgodnie z faktem, że religii w szkołach nie chcą ani uczniowie, ani rodzice. Ba, nie chcą jej też samorządy lokalne.

Kraków co roku przeznacza blisko 30 mln zł na religię. W Łodzi to ok. 10 mln zł, a w Częstochowie – 9,5 mln zł. To Jasna Góra zbuntowała się pierwsza i radni przegłosowali wstrzymanie dopłat do lekcji religii w szkołach. Dołączył do niej Wrocław, który też nie chce drenować na katechezy budżetu samorządowego.

Nic w tym dziwnego. W tym roku szkolnym na lekcje religii zapisało się 42 proc. uczniów w Warszawie. O 3 proc. mniej niż rok wcześniej. Natomiast w stołecznych przedszkolach na zajęcia z religii rodzice zapisali ledwie 11 proc. swoich pociech.

Najmniej uczniów uczęszcza na religię we Wrocławiu – zaledwie 15,19 proc. Ponad 14 mln zł idzie na etaty katechetów w Bydgoszczy. A na religię chodzi tam tylko 37,4 proc. wszystkich uczniów.

W skali kraju najwięcej dzieci chodzi na religię w podstawówkach – jest ich 65 proc. 13 proc. mniej niż cztery lata temu. To jednak też ściema. Im starsze dzieci, tym mniej ich na religii. Największy odpływ następuje w czwartej klasie szkoły podstawowej. Mógłby być rok wcześniej, ale Kościół, wiedząc, co się święci, kilka lat temu zdecydował, że do pierwszej komunii mają iść nie drugo-, ale trzecioklasiści. Gdyby nie ten myk, dzieciaki przestawałyby łazić na religię rok wcześniej.

Katechezolubni

W trzeciej dekadzie XXI w. przeciętny polski uczeń w cyklu edukacyjnym ma jakieś 160 godzin biologii, fizyki czy chemii i niemal 860 godzin religii. Jeśli chodzi o liczbę godzin lekcyjnych, katecheza jest czwarta, po matematyce, języku polskim i języku obcym. Program zajęć jest tak przeładowany, że dzieciaki spędzają w szkołach przeciętnie po siedem godzin dziennie. I nawet jak wypisały się z religii, to zamiast przyjść później do szkoły lub wyjść z niej wcześniej, mają w środku zajęć okienka.

Przeprowadzane przez sondażownie badania pokazują, że prawie połowa Polaków jest za przeniesieniem religii do salek katechetycznych. Za religią poza szkołą opowiedziało się 54 proc. wyborców Konfederacji! Ba, nawet 17 proc. osób popierających PiS też nie chce religii w szkołach. Wśród zwolenników KO, Trzeciej Drogi i Lewicy pomysł ten popiera 76 proc. ankietowanych.

Mimo to Koalicja Obywatelska zapisała w swoim programie, że chce, aby religia była organizowana tylko na pierwszej lub ostatniej lekcji oraz by wykreślić oceny z tego przedmiotu ze świadectw szkolnych. Jeśli to nie jest robienie sobie jaj z elektoratu, to jak to nazwać?

Gdyby jednak ktoś miał najmniejsze choćby nadzieje na usunięcie religii przez Hołownię i Kosiniaka-Kamysza, to nic z tego. Wszak Polska 2050 postulowała jakąś aberrację w postaci konieczności „wprowadzenia obowiązkowych lekcji z etyki lub filozofii oraz zwiększenie udziału wspólnot szkolnych w decydowaniu o wymiarze i sposobie realizacji lekcji religii na ich terenie”. Przynajmniej Lewica wprost mówiła: „Wyprowadzimy religię ze szkół do salek katechetycznych i skończymy z finansowaniem z publicznych środków wynagrodzeń katechetów”. Tylko co z tego, skoro w gronie katechezolubów z koalicji jej głos zostanie olany.

TADEUSZ JASIŃSKI

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Dziś na wielu uniwersytetach Zachodu* ***profesorom, wykładowcom bliżej jest do marksistów.*** *Nie widzą oni, że rujnując autentyczny ład cywilizacyjny Zachodu, wpychają siebie i swoje dzieci w wielką niedolę, nie tylko* ***nierozumnych żądz,*** *które zawsze pojawiają się w człowieku, ale także cywilizacyjnego barbarzyństwa, które istnieje i ma się dobrze. Barbarzyństwo uzbrojone w osiągnięcia techniczne oraz bogactwo materialne nie zna praw człowieka, nie daje szansy na wolność indywidualną i religijną […]. Dziś jak nigdy wcześniej potrzebujemy zdecydowanego głosu w obronie naszej polskiej tożsamości, naszego bytu narodowego i państwowego, bo przecież nie mamy innej ojczyzny i innego państwa. Żaden polityk, rząd, sejm nie ma prawa* ***likwidować Polski.***

prof. Paweł Skrzydlewski, Radio Maryja, 19 listopada

■ *W najbliższym czasie czeka nas* ***wzmożona walka polityczna o Polskę niepodległą,*** *wolną, bezpieczną od niemieckich neokolonialnych zapędów. Już dzisiaj nie jest to walka łatwa. […] Pamiętać musimy jednak, że* ***wielu z nas będzie poniewieranych,*** *pogardzanych i wyszydzanych w swoich zakładach pracy, urzędach, szkołach i rozmaitych instytucjach. Będziemy wyzywani od kaczystów, pisiorów, moherów, ciemniaków, betonów, katoli itp. Będziemy lekceważeni, pomijani w awansach, pozbawiani premii i nagród. Wielu z nas czeka też bojkot towarzyski, co nie jest łatwe do zaakceptowania i przyjemne, gdyż człowiek z natury jest istotą społeczną. Musimy jednak zacisnąć zęby i powiedzieć sobie: „To dla Polski”. I* ***robić swoje na większą chwałę Bożą,*** *dla dobra naszej Ojczyzny i bliźnich. I wszędzie, gdzie możemy, walczyć o wolność, niepodległość, prawa człowieka. My patrioci…*

prof. Wojciech Polak, wPolityce.pl, 20 listopada

■ *Co znaczy dzisiaj „wierzyć po katolicku”, czyli* ***pozostawać wiernym tradycji, którą dał Chrystus,*** *kiedy przekazał depozyt wiary apostołom? Przyglądamy się temu depozytowi, wierzymy, że to jest pełnia prawdy. Dochodzimy do czasów współczesnych, kiedy dziwnym trafem po 1968 roku widzimy, że Ewangelia, która przez wielu ludzi była niesiona jako symbol wyzwolenia człowieka, w dobie* ***rewolucji kulturowej i seksualnej*** *stała się ciężarem, balastem, jaki chcą odrzucić. Tutaj jest kluczowy dylemat.*

dr Artur Dąbrowski, prezes Akcji Katolickiej archidiecezji częstochowskiej, TV Trwam, 21 listopada

■ ***Wspólnoty protestanckie*** *przyjęły falę rzeczy, które przyszły do nich ze świata, np.* ***błogosławieństwo związków jednopłciowych.*** *[…] Jak mówił Ojciec Święty, musimy uwierzyć nie tyle w moc i siłę swoich słów, ale słów naszego Mistrza i Pana Jezusa Chrystusa. […] Dziś świat jest pochłonięty rzeczywistością medialną. Newsy, które dochodzą do przeciętnego odbiorcy, wyglądają w ten sposób, że człowiek wolałby mieć Kościół, który tłumaczy się ze swoich nieudolności, trudności. Na tym zyskują siły, które tak naprawdę nie chcą Kościoła w jakiejkolwiek debacie publicznej.*

dalej Dąbrowski

Rys. OBYWATEL JANEK

■ ***Ateizm*** *ma dzisiaj* ***podłoże ideologii neomarksistowskiej,*** *gdzie jawnie mówi się o tym, że wszyscy ludzie są równi, ale jest jedna dziedzina – rzymski Kościół katolicki – która nie może być równa. […] Dlatego żąda się rozdziału Kościoła od państwa. […] Rozumiemy tych, którzy nie wierzą, i nie chcemy im narzucać jakiejś – jak to mówi lewica – ideologii. My chcemy powiedzieć im o osobowym Bogu – Jezusie Chrystusie.*

Dąbrowski

■ *Na pewno chcielibyście mieć w przyszłości* ***pociechę z Waszych dzieci.*** *Niech pociechę ma też Pan Bóg. Niech będą szczęśliwe, ale trzeba je wychowywać. Wychowywać z wielką miłością, ale i z rozumem.* ***Rozumem chrześcijańskim, katolickim i polskim.*** *Jest okazja do wykonania drobnego gestu wychowania: zbliża się 6 grudnia i Boże Narodzenie – czas prezentów. Pomyślmy o dobrych, budujących szlachetnego ducha prezentach – o książkach dla dzieci, młodzieży, dorosłych. […] Mogę polecić m.in. serię pięknych książek państwa Joanny i Jarosława Szarków „Kocham Polskę”. Wśród książek dla młodzieży (i nie tylko) jest „Historia i teraźniejszość” prof. Wojciecha Roszkowskiego […]. Jest wiele dobrych książek dla pragnących jeszcze bardziej życia wiarą, np. ks. kard. Roberta Saraha „Katechizm życia duchowego”.*

o. Tadeusz Rydzyk, Radio Maryja, 20 listopada

Wybrał **KLECHA**

eprasa.pl 2147609d46

Jak media odkościelniły Irlandię. Pozywając papieża

Dawna potęga i symbol oporu wobec Brytyjczyków, Kościół katolicki, którego zalecenia ideologiczne odcisnęły piętno na dekady na życiu Irlandczyków (np. poprzez konstytucyjny zakaz aborcji i rozwodów), w naszym stuleciu stał się częścią krajobrazu tego kraju, lecz niczym więcej. Jego wszechpotężny wpływ na instytucje państwowe skończył się i rządy klechów to dziś marzenie kilku marginalnych durniów i idiotek z kruchty.

Zazdroszczę, więc chciałam się dowiedzieć, jak osiągnięto tak wspaniałe rezultaty.

Wykorzystywanie seksualne dzieci stało się ważną kwestią społeczną w Irlandii w ostatniej dekadzie XX w., o której często informowały media, w tym publiczna telewizja RTE. Największe znaczenie miało odkrycie gwałtów na nieletnich, których sprawcami byli księża i zakonnicy. Najważniejsze przypadki obejmowały nadużycia popełnione przez zakonnika Brendana Smytha, który został skazany za wielokrotne wykorzystywanie dzieci, a następnie zmarł w więzieniu, oraz księdza Seána Fortune'a, który strzelił samobójca przed procesem sądowym w sprawie nadużyć.

Gdy miarka się przebierze

Jak piszą Fred Powell i Margaret Scanlon w artykule naukowym o mediach i nadużyciach wobec dzieci, w Irlandii niektóre z najbardziej szokujących i najsilniej oddziałujących doniesień środków masowego przekazu dotyczyły wykorzystywania dzieci przez duchownych. Pierwszy poważny skandal tego typu dotyczył Smytha, członka zakonu norbertanów, który w 1994 r. przyznał się do 72 zarzutów o nieprzyzwoite zachowania i seksualne napaści, za co został skazany na 12 lat więzienia.

Ujawnienie powyższej afery byłoby niemożliwe bez mistrza dziennikarstwa śledczego z telewizji Ulsteru Chrisa Moore'a z programu „Counterpoint". Wykazał on, że władze duchowne od lat wiedziały o przestępstwach Smytha, ale radziły sobie z tym w sposób haniebny, ukrywając jego postępki i przenosząc go w inne miejsca, gdzie mógł nadal krzywdzić seksualnie dzieci. Niesławna afera zakonnika była kamieniem, który wywołał lawinę podobnych skandali.

Szczególną rolę odegrała tu szanowana i oglądana powszechnie telewizja publiczna RTE, która przeszła do historii dziennikarstwa śledczego dzięki kilku filmom dokumentalnym szczegółowo opisującym wykorzystywanie dzieci: „Dear Daughter" (1996), „States of Fear" (1999), „Cardinal Secrets" (2002). Tylko poprzez nagłośnienie mrocznych sekretów państwo irlandzkie postanowiło rzucić snop światła na ponury świat nadużyć seksualnych facetów w kieckach – molestowani i gwałceni zaczęli składać zeznania przed komisjami powołanymi przez władze.

Wedle Powella i Scanlon: „Media dostarczyły również ocalałym okazji do podniesienia świadomości społecznej na ten temat i prowadzenia kampanii na rzecz zmian. Przedstawiciele organizacji ocalałych, takich jak One-in-Four, uczestniczyli w licznych telewizyjnych programach informacyjnych i dyskusjach panelowych, udzielali wywiadów dziennikarzom i zwoływali konferencje prasowe, szczególnie w następstwie dochodzeń w sprawie wykorzystywania dzieci".

Gwoli prawdy historycznej: niektórzy specjaliści zarzucali mediom, zwłaszcza tabloidom i telewizjom, pogoń za sensacją i spłycanie tematu, ale bądźmy świadomi, że środki przekazu to nie są instytucje publiczne, mające czas, kadry i zasoby, by dogłębnie badać i rozpatrywać je w wielu wymiarach. Jeśli dzięki nim temat zaistnieje w świadomości ludzi, to już wiele.

Podkreślmy, iż podobnie jak w innych miejscach na świecie, pojawiło się coś, co znacznie bardziej niż same te pożałowania godne akty wpłynęło na podkopanie zaufania do Kościoła instytucjonalnego. A mianowicie totalne olewanie skarg na seksualnych drapieżców w sutannach, a nawet – mówiąc wprost – ułatwianie im kontynuowania procederu, które połączone było z traktowaniem z buta ofiar.

Irlandzcy biskupi poczuli się z czasem zmuszeni do zbadania skali szkód i zlecili w 2002 r. niezależnej agencji pogłębiony czteromiesięczny sondaż telefoniczny, w którym ogółem udało się porozmawiać z aż 1081 badanymi.

19 marca 2002 r. ogólnodostępny w Irlandii brytyjski kanał telewizji publicznej BBC2 pokazał film dokumentalny „Suing the Pope" (Pozywając papieża), który w drobiazgowy sposób omówił skargi do władz kościelnych na Fortune'a i ich zupełnie niewłaściwe rozpatrywanie.

Jak czytamy w medioznawczym artykule Michaela J. Breena i in., który omawia wpływ tego dokumentu na postawy wyrażone we wspomnianym sondażu opinii społecznej, o programie było głośno w Irlandii już przed jego emisją, szeroko komentowano go po niej, a po jakimś czasie nadał go publiczny kanał telewizyjny RTE1. Warto nieco przybliżyć za Breenem, co takiego zszokowało mieszkańców Zielonej Wyspy.

Porażający dokument

W pierwszych 30 sekundach producent Sarah McDonald mówi: „Irlandzki ksiądz katolicki ojciec Seán Fortune był zastraszającym seryjnym pedofilem, który żerował na młodych chłopcach. Jego szef, biskup Brendan Comiskey, wiedział, że dzieci są zagrożone, ale nie udało mu się ich ochronić. Tym ludziom odmówiono sprawiedliwości". Później McDonald stwierdza: „Teraz wygląda na to, że pedofilski pierścień, formalnie lub nieformalnie, działał w seminarium i przez lata wykorzystywał chłopców. Ojciec Donald Collins, dyrektor szkoły i inny ksiądz zostali później osobno skazani za wykorzystywanie seksualne małych dzieci".

Dokument kontynuuje przerażający opis wykorzystywania młodych ludzi przez Fortune'a, mimo że zostało to zgłoszone władzom cywilnym i kościelnym. Colm O'Gorman, jedna z ofiar Fortune'a, ujął to bardzo dosadnie: „Jedynym sensem, jaki mogę z tego wyciągnąć, jest to, że grupa mężczyzn, którzy mieli potężne uprzywilejowane pozycje, była znacznie bardziej zainteresowana ochroną swojej władzy, swojej pozycji i swojej instytucji niż w jakikolwiek sposób ochroną ludzi, którym mieli służyć, lub ludzi, o których mówili w kategoriach miłości lub współczucia. Nie ma tam miłości ani współczucia. Jest absolutny brak szacunku i lekceważenie ludzi, co sprawia, że robi mi się niedobrze".

Rys. MARCIN CHUDZIK

Tom Doyle, amerykański prawnik kanoniczny, z którym przeprowadzono wywiad w filmie dokumentalnym, stwierdził, że kwestia tuszowania skandali była instytucjonalna: „Instytucja podjęła bardzo agresywne działania przeciwko ofiarom i ich rodzinom, gdy wszczęli oni pozwy sądowe. Podjęła bardzo agresywne działania prawników, aby w pewnym sensie pokonać ludzi. Rodzicom i rodzinom, które ujawniły informacje, grożono, zastraszano ich, próbowano zmusić do nieujawniania się publicznie".

W całym dokumencie relacje ofiar o gwałtach na nich, upokorzeniu i cierpieniu z powodu działań Fortune'a są całkowicie przekonujące. Jest to ból, który został spotęgowany przez bezczynność i brak reakcji władz kościelnych. Jak ujął to O'Gorman: „I masz, szczerze mówiąc, drani takich jak Brendan Comiskey, ukrywających się w swoim ładnym pałacu w Summerhill, ze swoim alkoholizmem, żalem i niezdolnością do zrozumienia lub zrobienia czegokolwiek z tym. To nie jest wystarczająco dobre […]. To już nie wystarczy. Ludzie umarli. Ludzie umierają. Ludzie cierpią".

50 minut na ekranie z ofiarami opowiadającymi o swojej krzywdzie doprowadziło do państwowego dochodzenia w sprawie nadużyć seksualnych w irlandzkim Kościele i rezygnacji ówczesnego biskupa.

Reakcja opinii publicznej

Jako iż wspomniany powyżej sondaż telefoniczny przeprowadzano przed i po nadaniu „Suing the Pope", pozwala to wykazać, czy ten program miał wpływ na nastroje opinii publicznej.

Po emisji wzrósł wśród Irlandczyków przeciętny poziom niezgody w kwestii ogólnego zadowolenia z Kościoła, z księży i zaufania do Kościoła, a także zmalało przekonanie, że właściwie zajmie się on swoimi problemami. Uczestnicy badania po dokumencie rzadziej byli zadowoleni z Kościoła i księży, rzadziej ufali Kościołowi, że zajmie się swoimi problemami, rzadziej oczekiwali od księży moralnego przywództwa, rzadziej wierzyli, że Kościół będzie chronił dzieci powierzone jego opiece, rzadziej akceptowali księży sprawców napaści seksualnych jako pracujących w swoich społecznościach pod nadzorem i rzadziej postrzegali reakcję Kościoła jako właściwą.

Ankietowani byli również bardziej skłonni do wprowadzenia zakazu powrotu księży sprawców do pracy duszpasterskiej (z wyjątkiem przypadków, w których istnieje nadzór i nie ma kontaktu z dziećmi). Byli oni również bardziej skłonni do zastanawiania się nad wiarygodnością nowych księży po ich przybyciu do parafii, częściej zgadzali się z publikacją informacji o nadużyciach duchownych, częściej zgadzali się, że nadużycia duchownych miały wpływ na ich życie religijne, częściej popierali wyświęcanie homoseksualnych mężczyzn i częściej zastanawiali się nad problemami seksualnymi aspirujących do kapłaństwa.

Nie było natomiast statystycznej różnicy w poziomie zgody na celibat, zrozumienia bezpośredniej reakcji Kościoła na nadużycia, uznania wystarczającego poziomu informacji dostarczanych przez Kościół, oczekiwania wytycznych od Kościoła w kwestiach ludzkiej seksualności i oczekiwania, że moralne postępowanie księży będzie lepsze niż innych. Największy poziom niezgody dotyczył stwierdzenia: „Kościół katolicki odpowiednio informował mnie o wykorzystywaniu seksualnym dzieci".

Głos ludzi

Jak podkreślają Breen i in., głównym wnioskiem płynącym z reakcji na „Suing the Pope" jest to, że relacje medialne na temat wykorzystywania seksualnego dzieci mają bardzo istotny wpływ na postawy i opinię publiczną: „Stopień tego wpływu musi jeszcze zostać określony, ale natychmiastowy efekt zmiany opinii publicznej, przynajmniej w tym przypadku, był już wystarczający do wszczęcia ustawowego dochodzenia przez władze. Chociaż wiele pozostaje do zrobienia w zakresie zwalczania i minimalizowania wykorzystywania seksualnego dzieci, istnieją wyraźne dowody na to, że informacje medialne mają do odegrania kluczową rolę".

Innymi słowy, więcej znaczy kilku dzielnych ludzi z kamerami, gotowych wysłuchać ofiar nadużyć klechów i zaniechań biskupów (a nawet papieży), od zastępów polityków, mielących okrągłe zdania, z których nic nie wynika.

Teraz nie pozostaje nam nic innego jak czekać na spóźnioną realizację hasła Donalda Tuska sprzed lat, że Polska będzie drugą Irlandią...

KATARZYNA KOENIG

REKLAMA

eprasa.pl 2147609d46

Orły z kurnika

Co polskie elity mają na głowie?

Kiedy polskie elity polityczne spierają się, czy 190 większe jest od 240, a czołowi krajowi komentatorzy polityczni debatują, czy senator Marek Pęk wystarczająco nabluzgał senackim przeciwnikom, by nie dostąpić zaszczytu wicemarszałka Izby Dumania, nasze losy rozstrzygają się poza sferami ich decyzji.

I na nic ich deklaracje, że Polska jest suwerenna, że rośnie gospodarczo tak szybko, że dorasta już do roli regionalnego mocarstwa. Bo choć wzrost cywilizacyjny Polski jest w świecie zauważalny, to nie idzie on w parze ze wzrostem intelektualnym krajowych polityków. I komentariatu politycznego okupującego największe polskie media.

Najlepszym dowodem tego uwiądu umysłowego są reakcje komentariatu na ostatnie wydarzenia międzynarodowe.

W ubiegłym tygodniu doszło do negocjacji przywódców dwóch największych światowych gospodarek. Prezydenta USA Joe Bidena i prezydenta Chin Xi Jinpinga. Negocjacji długich, bo ponadczterogodzinnych. Na użytek mediów – rozmów w cztery oczy. Tak naprawdę – z udziałem profesjonalnych tłumaczy-politologów z eksperckimi zespołami na zapleczu.

Po spotkaniu obaj przywódcy powiedzieli mediom to, co mieli im powiedzieć. W świat poszybował komunikat, że oba mocarstwa odmroziły właśnie wojskowy kanał informacyjny. Dzięki niemu amerykańska obrona przeciwlotnicza nie zestrzeli już publicznie kolejnego chińskiego balonu, który ulegnie awarii i obniży swe loty nad terytorium USA. Balonu uznanego przez USA za szpiegowski, a przez Chińczyków za meteorologiczny. Zapewne takiego i takiego, bo Chińczycy to naród oszczędny i pragmatyczny. Następnym razem kolejny taki wypadek zostanie zestrzelony dyskretnie, bez udziału mediów.

Uwadze krajowego komentariatu uszła niestety kolejna informacja, że USA i Chiny uruchomiły też bezpośredni kanał telefoniczny między przywódcami obu państw. Podobny do istniejącego w czasach zimnej wojny telefonu Waszyngton–Moskwa. Stworzonego w okresie kryzysu kubańskiego przez prezydenta Kennedy'ego i genseka Chruszczowa. Tamta łączność wiele razy potem pomagała łagodzić napięcia między obu mocarstwami. Sprzyjała zachowaniu pokoju między nimi. Pokoju stale obecnego w Polsce od 1945 r.

Ponieważ przekaz dla mediów po spotkaniu Biden–Xi był skąpy, to polski komentariat spotkanie to zbagatelizował i komentował również bardzo skąpo.

Między wierszami

A przecież każdy wnikliwszy obserwator życia politycznego wie, że najważniejsze efekty takich spotkań często nie są publicznie ogłaszane. Zwykle ważniejsze jest, przeciwko czemu obaj przywódcy nie wyrazili publicznie swego sprzeciwu, niż to, co publicznie zgodnie poparli. Ważne jest też, z czym na rozmowy przyjechali. Czego od siebie potrzebowali.

Waszyngton oczekiwał pilnego wsparcia Pekinu w rozwiązaniu dwóch konfliktów zbrojnych: w Izraelu i w Ukrainie.

Zapewne prezydent Biden zwrócił się do prezydenta Xi, by Chiny wywarły wpływ na przywódców Iranu, aby ci skłonili swych palestyńskich sojuszników do zawarcia rozejmu z władzami Izraela. A przynajmniej aby Hamas zaczął zwalniać izraelskich zakładników. W zamian prezydent Biden pewnie zadeklarował, że będzie nakłaniał przywódców Izraela do podobnych pokojowych działań. Wojna w Izraelu to globalny problem, psujący interesy Chin i USA w tym regionie świata.

Chiny udowodniły już, że potrafią zorganizować mediacje państw wielce skonfliktowanych. Doprowadziły do normalizacji stosunków Arabii Saudyjskiej i Iranu, jeszcze niedawno uważanych za śmiertelnych wrogów.

Czas pokaże, jak skuteczne będą oba mocarstwa w łagodzeniu tej wojny.

Obaj przywódcy zainteresowani są też zakończeniem działań wojennych w Ukrainie. Tamta wojna rujnuje nie tylko Ukrainę i Rosję. Grozi kolejnym kryzysem żywnościowym w Afryce, falami uchodźców, kryzysami humanitarnymi i zakłóceniem harmonii gospodarczej, czego Chiny nie chcą.

USA nie stać na sponsorowanie wojen w Izraelu i Ukrainie. Swój podstawowy cel, czyli osłabienie Rosji, już osiągnęły. Teraz amerykańskie firmy chętnie wezmą udział w „odbudowie", czyli kolonizowaniu gospodarczym, Ukrainy. Chiny też nie są zainteresowane dalszym osłabianiem Rosji. Też chciałyby „odbudowywać" Ukrainę, bo to sposób na grożącym im zastój gospodarczy.

Waszyngton pilnie potrzebuje również wsparcia Chin i ich sojuszników w walce z globalnymi mafiami narkotykowymi i pomocy w blokowaniu przemytu do USA fentanylu, opioidowego leku przeciwbólowego, który wypiera tam morfinę. Bez wspólnego działania służb obu mocarstw globalne mafie narkotykowe pozostaną bezkarne.

Słuchając amerykańskich postulatów, prezydent Xi zapewne oczekiwał od USA deklaracji, że Waszyngton skończy z dwulicową polityką wobec Chin w kwestii Tajwanu. Polityką popierania zasady jednych Chin, czyli uznawania Tajwanu za część jednego państwa chińskiego. Ale też politycznego popierania tajwańskich separatystów i dozbrajania ich. Z informacji, jakie dotarły do mediów, wynika, że prezydent Xi przedstawił projekt pokojowego zjednoczenia Chin z wyspą. Ale pokój w tym regionie wymaga nieagresywnej polityki USA.

Niezwykle ważne dla wszystkich jest przygotowane właśnie porozumienie klimatyczne między dwoma największymi gospodarkami świata. Stany Zjednoczone i Chiny zgodziły się wspólnie

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Dwa strzały, sześć trupów

Spisek na spisku i spiskiem pogania, czyli kto zabił prezydenta Kennedy'ego?

Amerykanie są niezwykle kreatywni, jeśli chodzi o ogląd świata, który – ujmijmy to delikatnie – nieco kłóci się z racjonalnym myśleniem. Według sondażowni Public Policy Polling po kilkanaście milionów obywateli USA wierzy na przykład, że papież Franciszek jest zmiennokształtnym reptilianinem – to rodzaj jaszczurki na dwóch nogach przysłanej z kosmosu, żeby przejąć władzę na ziemi; że Elvis żyje, za to McCartney zginął w 1966 r. i został zastąpiony przez sobowtóra; że ludzie nigdy nie wylądowali na Księżycu, za to kosmici wylądowali w Roswell, co rząd ukrywa od lat 40. zeszłego wieku. Przeważnie teorie te mają po kilka procent wyznawców, jednak jest jeden spisek, w który wierzy konsekwentnie od sześciu dekad więcej niż połowa Amerykanów, a czasem ponad 80 proc. I wiecie co? Ja się z nimi zgadzam.

Samotny komunista

60 lat temu, 22 listopada 1963 r. w Dallas w Teksasie zastrzelony został 35. prezydent USA John Fitzgerald Kennedy. 70 minut później policja zatrzymała Lee Harveya Oswalda, który z kolei dwa dni później w podziemiach budynku komendy w Dallas został zastrzelony przez Jacka Ruby'ego, właściciela nocnego klubu, dorabiającego na boku stręczycielstwem. W ciągu 24 godzin po zamachu na Kennedy'ego szef FBI, niesławny J. Edgar Hoover, poinformował świeżo zaprzysiężonego prezydenta Lyndona Johnsona, że według wstępnych ustaleń śledztwa Oswald działał sam, bo był komunistą.

Tydzień po zamachu, 29 listopada, powołana została „prezydencka komisja ds. zabójstwa prezydenta Kennedy'ego" nazywana – od nazwiska przewodniczącego szefa Sądu Najwyższego USA – komisją Warrena. W skład komisji wchodziło siedmiu facetów, ze szczególnym uwzględnieniem Allena Dullesa, byłego dyrektora CIA, którego Kennedy wywalił z roboty dwa lata wcześniej za katastrofalną antycastrowską operację w Zatoce Świń. Razem ustalili oni, że Hoover miał rację, prezydenta zabił Lee Harvey Oswald, który strzelał z szóstego piętra składnicy książek z karabinu kupionego w sklepie wysyłkowym. Raport komisji Warrena, która przesłuchała 552 świadków i przeanalizowała 3100 dowodów, zawiera 888 stron i 16 tys. stron załączników – w sumie 27 tomów. Jeśli administracja Johnsona sądziła, że zakopie wątpliwości opinii publicznej pod tą górą papierów, to osiągnęła tylko połowiczny sukces.

W 1979 r. kolejna komisja – Komisja Śledcza Izby Reprezentantów do spraw Zabójstw (HSCA) badająca zamachy na Kennedy'ego i Martina Luthera Kinga – stwierdziła, że komisja Warrena nie miała racji tak do końca, bo wprawdzie Oswald strzelał, ale spisek jednak był. Choć nie wiadomo czyj, skoro zdaniem komisji nie brały w nim udziału rządy ZSRR i Kuby, FBI, CIA, Secret Service, opozycja antycastrowska w USA ani amerykańska mafia, co w zasadzie wyczerpuje listę potencjalnych podejrzanych.

Czerwony wichrzyciel

Zamach na JFK być może byłby już tylko rozdziałem w książkach do historii USA – niczym zabójstwo Abrahama Lincolna – gdyby nie niestrudzony Oliver Stone. Lewacki wichrzyciel, zdobywca czterech Oscarów i twórca trzech dokumentów o Fidelu, w 1991 r. nakręcił bardzo długi film pod bardzo krótkim tytułem „JFK". Kevin Costner gra w nim Jima Garrisona, prokuratora okręgowego z Nowego Orleanu, który jako jedyny postawił kogokolwiek przed sądem za zabójstwo prezydenta. Oskarżonym był niejaki Clay Shaw, nowoorleański biznesmen i współpracownik CIA, który – zdaniem Garrisona – brał udział w spisku na życie prezydenta. Garrison przegrał ten proces – i w filmie, i w realu – ale sposób, w jaki Stone opowiedział historię jego śledztwa, sprawił, że Amerykanie ponownie zainteresowali się wydarzeniami z Dallas.

Do tego stopnia, że w 1992 r. Kongres uznał za stosowne przyjąć ustawę o „gromadzeniu dokumentacji zabójstwa prezydenta Johna F. Kennedy'ego", która powołała komisję ds. przeglądu dokumentacji, a także zdecydowała o tym, że wszystkie dokumenty związane z zamachem w Dallas mają być dostępne publicznie w ciągu 25 lat od wejścia ustawy w życie. I tak też w zasadzie się stało, z bardzo drobnymi wyjątkami dotyczącymi rozliczeń podatkowych członków komisji Warrena. Dokumenty nie są dostępne online: zgromadzono je w specjalnej bibliotece w College Park w stanie Maryland, gdzie każdy może je sobie oglądać oraz kopiować. I setki ludzi to robią.

Amatorskie śledztwo w sprawie śmierci Kennedy'ego stało się jednym z popularnych amerykańskich hobby.

Swoją cegiełkę znowu dołożył Oliver Stone, który dwa lata temu wyreżyserował film „JFK: Droga do prawdy", gdzie powielił swoje tezy z 1991 r. już nie w formie fabularnej, tylko dokumentalnej: film zawiera rozmowy z ekspertami i śledczymi, zarówno przeprowadzone przez Stone'a, jak i archiwalne, cytaty z dokumentów etc. Ogląda się – jeśli to możliwe – jeszcze lepiej niż film z 1991 r., choć może dlatego, że jest o całą godzinę krótszy.

Nie będę opowiadać całego filmu – obejrzyjcie sobie sami, bo naprawdę warto – ale jedna teza wydaje się szczególnie godna przywołania. Obrazuje bowiem skalę absurdalności prac komisji Warrena. To teoria magicznej kuli.

Magiczna kula

Kula musiała być magiczna, żeby dokonać wszystkich zniszczeń, których – zdaniem komisji Warrena – dokonała, i wyjść z tego całkowicie bez

Rys. MARCIN CHUDZIK

eprasa.pl 2147609d46

walczyć z globalnym ociepleniem przez zwiększenie znaczenia energii wiatrowej, słonecznej i innych odnawialnych źródeł energii w celu wyparcia paliw kopalnych. „Kontynuować wysiłki na rzecz potrojenia globalnej mocy energii odnawialnej do 2030 r." – poinformował o tym niedawno amerykański Departament Stanu.

Polski komentariat nie debatował o tym. W Polsce globalne ocieplenie nadal ma status bajki o żelaznym wilku.

Oczywiście takiemu porozumieniu można jedynie przyklasnąć. Ale jego realizacja nie będzie możliwa, jeśli dwie największe światowe gospodarki będą jednocześnie prowadzić ze sobą wojnę gospodarczą.

Co dla nas

Wznowienie racjonalnych kontaktów między USA i Chinami ważne jest także dla państw Unii Europejskiej i Polski. Krajowy komentariat zwykle zapomina, że Chiny są najważniejszym pozaeuropejskim partnerem gospodarczym dla największych gospodarek Unii Europejskiej.

Polska również ma większe obroty handlowe z Chinami niż z USA. W polskim interesie jest też rozbudowa linii kolejowej łączącej Chiny i Azję z Unią Europejską i Europą Środkowo-Wschodnią. To czysty zysk z naszego położenia geograficznego.

Jednocześnie USA są teraz najważniejszym sojusznikiem wojskowym Polski i innych państw Europy Środkowo-Wschodniej. Dlatego rozpoczęte przez prezydenta Trumpa w 2017 r. wojny handlowe i propagandowe między USA i Chinami zakłócały współpracę gospodarek europejskich i chińskiej.

Po wybuchu wojny w Ukrainie proamerykańskie polskie media regularnie krytykowały Chiny za współpracę gospodarczą z Rosją. Tendencyjnie, bo o podobnie współpracujących Indiach polskie media już nie wspominały. Konsekwentnie za to zohydzały wszelkie przejawy współpracy polsko-chińskiej. Nie tylko gospodarczej, ale nawet kulturalnej.

A przecież Unia Europejska to miejsce, w którym „gospodarki są wolne i mogą wybrać własną drogę, gdzie towary, idee, ludzie mogą przepływać zgodnie z prawem i swobodnie". Przecież Unia Europejska nie musi mieć „agendy gospodarczej pisanej w Waszyngtonie", co zauważył już prezydent Macron. Wsparł go kanclerz Scholz, bo po utracie rynku rosyjskiego gospodarek Unii Europejskiej nie stać na jednoczesny rozbrat z rynkiem chińskim. Zwłaszcza że prezydent Biden wsparł z budżetu państwa inwestycje w przemysł samochodowy, czym uderzył w interesy naszego przemysłu. Zrobił to, wykorzystując chińskie sposoby wspierania przemysłu ze środków państwowych.

Po swym ostatnim spotkaniu prezydenci Biden i Xi uznali, że relacje między USA a Chinami są „najważniejszymi relacjami dwustronnymi na świecie". A na ich barkach „spoczywa ciężka odpowiedzialność wobec świata i historii". „W przypadku dwóch wielkich państw, jak Chiny i USA, odwracanie się do siebie plecami nie jest możliwe. Jest nierealne, aby któraś ze stron przemodelowała drugą, a konflikt i konfrontacja miałyby konsekwencje nie do zniesienia dla obu stron" – dodał prezydent Xi. I zadeklarował: „Ziemia jest wystarczająco duża, by oba państwa odniosły sukces". W odpowiedzi Biden podkreślił, że USA i Chiny muszą zapewnić zaniepokojoną wspólnotę międzynarodową, że rywalizacja między nimi nie przerodzi się w konflikt. Muszą teraz „zarządzać swoimi relacjami rozsądnie".

Dla polskiej klasy politycznej to jednoznaczny sygnał z Waszyngtonu, że teraz Polska może już współpracować z Chinami. Gospodarczo, a nawet kulturalnie. Jest przecież suwerenna. Ale zachowując jednoczesną podległość militarną i polityczną wobec Waszyngtonu.

Amerykański biznes ma większą wolność w swym kraju niż polski u nas. W czasie swego pobytu w USA prezydent Xi wydał obiad dla przedstawicieli amerykańskich korporacji zainteresowanych odnowieniem współpracy z Chinami. Chętnych było więcej niż miejsc przy stole. Udział w takim obiadku kosztował 40 tys. USD od gęby. Na cel zbożny rzecz jasna.

Ciekawe, ilu polskich biznesmenów byłoby stać na taki lunch. A ilu zagranicznych biznesmenów zapłaciłoby za taki obiad z przywódcą polskiego państwa?

Nie oczekuję na to odpowiedzi od polskiego komentariatu medialnego. Od krajowych polityków też. Oni teraz mają co innego na głowie. Skupiają się na debacie, czy spadnie choć włos z głowy byłej marszałek Elżbiecie Witek. Włos szczególny. Zawsze jak sztandar, godnie tapirowany.

PIOTR GADZINOWSKI

szwanku. Raport Warrena stanowi, że Oswald wystrzelił trzy kule: tyle strzałów słyszeli świadkowie i tyle łusek FBI znalazło pod oknem w składnicy książek w miejscu, z którego Oswald miał strzelać. Początkowo wszystko składało się w zgrabną opowieść: dwie kule raniły Kennedy'ego – jedna w gardło, druga w głowę – a trzecia trafiła gubernatora Teksasu Johna Connally'ego, który siedział w limuzynie przed prezydentem. Potem jednak sprawa zaczęła się komplikować.

Okazało się bowiem, że pierwszy strzał spudłował całkowicie – trafił w krawężnik, a odprysk betonu zranił w policzek Jamesa Tague'a, który oglądał przejazd prezydenckiej kolumny spod pobliskiego wiaduktu. Mało tego, eksperci FBI stwierdzili, że minimalny czas pomiędzy strzałami, konieczny do przeładowania broni z zamkiem czterotaktowym, z której jakoby strzelał Oswald, to 2,25 sekundy. Tymczasem na słynnym filmie Abrahama Zaprudera – nagraniu zabójstwa nakręconym amatorską ośmiomilimetrową kamerą przez właściciela lokalnej firmy odzieżowej – pomiędzy zranieniem Kennedy'ego i Connally'ego mija 15–20 klatek, czyli dwa do trzech razy za mało (2,25 sekundy to 41–42 klatki filmu). Komisja Warrena uznała zatem, że ranę w gardle prezydenta i wszystkie obrażenia gubernatora spowodowała jedna kula. Która – zgodnie z tą teorią – uderzyła w plecy prezydenta, wyszła w okolicach krtani, po czym przeszła na wylot przez tułów gubernatora i jego prawy nadgarstek, żeby wbić się w jego lewe udo. Co oznacza, że pocisk ten przebił gorset, który Kennedy nosił ze względu na chroniczny ból pleców, 15 warstw odzieży, siedem warstw skóry i koło 40 cm tkanki mięśniowej, a także 10 cm żebra i kość promieniową prawej ręki Connally'ego. Po czym, nieomal całkowicie nieuszkodzony, sam wypadł z gubernatorskiego uda na nosze, na których, już w szpitalu Parkland, znalazł go sprzątacz Darrell C. Tomlinson. Nawiasem mówiąc, we wrześniu tego roku – 60 lat po zabójstwie – Paul Landis, który w 1963 r. jako ochroniarz Jackie Kennedy był świadkiem zamachu, ogłosił, że to on znalazł kulę w prezydenckiej limuzynie i po prostu wrzucił ją na nosze, bo „od razu sobie uświadomił, że jest to bardzo ważny dowód", i „nie chciał, żeby zniknął lub się zgubił". Swoje umiarkowanie logiczne postępowanie, a także fakt, że z ujawnieniem go czekał sześć dekad, Landis – dziś 88-letni – tłumaczy zespołem stresu pourazowego i brakiem snu.

Puszka Pandory

Teoria magicznej kuli jest kluczowa dla ustaleń komisji Warrena i, generalnie, oficjalnej wykładni, iż zabójstwo 35. prezydenta USA było dziełem samotnego komunisty, albowiem wszystkie obrażenia Kennedy'ego, Connally'ego i Tague'a muszą być efektem trzech strzałów, które oddał Oswald. Gdyby dopuścić myśl, że padł czwarty strzał – wskazywałoby na to, że strzelców było dwóch, co oznacza spisek i otwiera szaleńczą puszkę Pandory. Zwłaszcza że wątpliwości jest więcej.

Komisja Warrena stanęła na głowie, żeby udowodnić na przykład, że strzały padły z tyłu, od strony składnicy książek – choć film Zaprudera dość wyraźnie wskazuje, że prezydent został trafiony z przodu. Ta dyskusja ciągle porusza amerykańską opinię publiczną – nie dalej niż w zeszłym tygodniu na platformie Paramount+ pojawił się dokument Barbary Shearer, zatytułowany: „JFK – co widzieli lekarze", w którym siedmiu medyków obecnych na izbie przyjęć szpitala Parkland Memorial 22 listopada 1963 r. opisuje zgodnie, że rany wlotowe widzieli z przodu, a olbrzymia rana z tyłu głowy – z dużym brakującym fragmentem mózgu – musiała być raną wylotową kuli, która, opuszczając głowę prezydenta, odłupała spory kawałek czaszki. Wielu świadków stwierdza, że oficjalne zdjęcia z autopsji przeprowadzonej w szpitalu marynarki wojennej w Bethesda ukazujące niewielkie zniszczenia kości ciemieniowej i prawie nieuszkodzony mózg, nie pokazują głowy Kennedy'ego.

Zabójstwo JFK i raport komisji Warrena są przez wielu badaczy uważane za matecznik wszystkich szaleńczych teorii spiskowych, które rządzą dziś Ameryką.

Teorie spiskowe chodzą ze sobą do łóżka i płodzą następne spiski. Albowiem – pytają ich zwolennicy – skoro nie można wierzyć rządowi w sprawie tego, kto zabił prezydenta, to w jakiej sprawie można?

Na to pytanie nikt na razie nie znalazł odpowiedzi.

AWŁ

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Żołnierze z Oddziału Żandarmerii Wojskowej w Krakowie pochwalili się, że ujęli 13 innych żołnierzy, którzy ukradli 15 tys. litrów paliwa z jednostki w Bielsku-Białej. Olej napędowy, bez VAT-u i akcyzy, sprzedawany był następnie na wolnym rynku. Naszym zdaniem żandarmeria wojskowa powinna pewne sprawy zachowywać wyłącznie dla siebie, bo może panowie oficerowie tego nie wiedzą, ale nie mają żadnego powodu do dumy.

▮ Radni Warszawy nadal walczą z biedą w stolicy. Tym razem uchwalili, że biedniejsi, posiadający starsze samochody, nie będą jeździć nimi po Strefie Czystego Transportu rozciągającej się od Mokotowa po Żoliborz i od Olszynki Grochowskiej po Wolę. Od 1 stycznia 2024 r. mieszkańcom tego wspaniałego miasta nie będzie można mieć starszych diesli niż 13-letnich i aut z silnikami benzynowymi wyprodukowanych przed 2002 r. Wszystko wskazuje na to, że walka z biedą skończy się zwycięstwem warszawskich rajców. Biedni przegrają.

▮ Po 24 latach służby odchodzi do cywila policjant z komendy powiatowej w podwarszawskich Starych Babicach. Jego najlepsi koledzy (również z policji) znaleźli go upojonego do nieprzytomności i śpiącego za kierownicą przy jednej ze stacji benzynowych w Legionowie. Był to dobry policjant, bo gdyby był zły, to od dziewięciu lat byłby już na policyjnej emeryturze, która w tej sytuacji jest pod wielkim znakiem zapytania.

▮ Jeżeli chodzi o Szpital Miejski im. dr. Biegańskiego w Grudziądzu, to szef tej jednostki wyjawił radzie miejskiej, iż placówka jest zadłużona na 535 mln zł. Rajcy przyjęli tę informację z wargami wygiętymi w dziubek karpia. Sprawa jest o tyle trudna, że budżet Grudziądza na obecny rok wynosił 722 mln zł. Nie istnieje zatem możliwość oddłużenia placówki siłami magistratu. Wychodzi też na to, że w tym Grudziądzu wszyscy muszą być permanentnie chorzy, skoro na leczenie wydaje się tam więcej niż na cokolwiek innego.

▮ Na podszczecińskim poligonie w pasie ćwiczeń taktycznych Krzekowo myśliwy z miejscowego koła łowieckiego zastrzelił 21-letniego żołnierza z 12. Brygady Zmechanizowanej. Zabójca tłumaczy się, że to niechcący. Ofiara była tak dobrze zamaskowana, że ten zwyczajnie jej nie zauważył, przestrzelając broń na chybił trafił. Sugerujemy, aby dla bezpieczeństwa żołnierzy na poligonach ubierać ich w odblaskowe kamizelki lub czerwone mundury. Myśliwi są wszędzie.

▮ Musiano ewakuować personel i klientów hipermarketu budowlanego Castorama na krakowskich Bronowicach. Jeden z kupujących pochwycił bowiem siekierę ze stoiska z narzędziami ręcznymi i zaczął zadawać nią ciosy na oślep, wydając z siebie zwierzęce okrzyki. Sprawą zajmuje się prokuratura. Dla nas nawet bez jej wyjaśnień incydent jest w zasadzie jasny. Na niektórych artykułach marża sklepowa Castoramy wynosi 300 proc. Też byśmy chwycili za siekiery, ale ograniczamy się tylko do porykiwania niczym jelenie, kiedy już jesteśmy na polu.

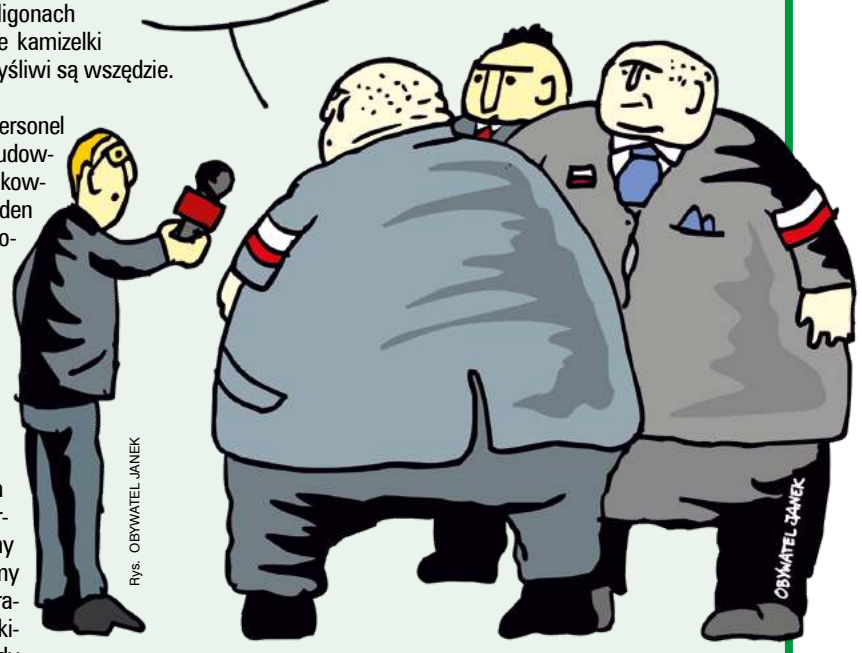

Rys. OBYWATEL JANEK

▮ Aktywista Inicjatywy Dzikie Karpaty omal nie został zjedzony przez niedźwiedzia, którego znalazł tam, gdzie jego zdaniem być go nie powinno, czyli we własnej gawrze w bieszczadzkich lasach opodal wsi Zatwarnica. Aktywistę oprócz niedźwiedzia dopadła również rozwolnica. Rzecznik Lasów Państwowych Michał Gzowski utrzymuje, że z rozwolnicą i ranami szarpanymi ekolog znalazł się w szpitalu.

▮ W Dubiczach Cerkiewnych na Podlasiu policja drogowa zatrzymała fiata seicento, za którego kierownicą siedział 15-latek nieposiadający prawa jazdy. Obok na siedzeniu pasażera siedziała jego matka, która takowe prawo jazdy miała. Niestety na nic się zdały tłumaczenia obojga, że jeżdżą tak już przynajmniej od dwóch lat, bo patentowana na kierowcę kobieta stwarza za kółkiem większe zagrożenie dla siebie i innych użytkowników drogi niż jej nieuprawniona do prowadzenia pojazdów mechanicznych progenitura. Niewiasta szczerze przyznała, że zniszczyła już dwie skrzynie biegów i w ogóle ma jakieś lęki, kiedy siada na miejscu kierowcy. Matka dostała mandat, a dziecku założono sprawę karną. Bezpieczeństwo na drogach Podlasia od tego zmaleje, ale za to sprawiedliwość zatryumfuje.

▮ 36-letnia Anna A., znajdująca się w ósmym miesiącu ciąży, okradła dwie placówki bankowe w Kurowie i Puławach, terroryzując finansistów nożem kuchennym. Zagarnęła ponad 50 tys. zł. Została aresztowana pod zarzutami, za które grozi 20 lat pierdla. Jak oboje wyjdą, dziecko będzie już pełnoletnie. Jego współudział w napadach w takiej sytuacji nie może być kwestionowany.

▮ Sędzia Sądu Rejonowego w Lubaczowie, którego samochód znaleziono w przydrożnym rowie w miejscowości Stare Oleszyce w maju tego roku, nie był pijany, kiedy prowadził swoje auto – ustaliła Prokuratura Okręgowa w Przemyślu na podstawie zeznań owego sędziego. Przez wzgląd na zawodową prawdomówność członków lubaczowskiej judykatury i z braku innych dowodów postępowanie w sprawie domniemanego pijaństwa wymiaru sprawiedliwości zostało umorzone.

▮ Burmistrz Jarocina Adam Pawlicki poleciał do Waszyngtonu na spotkanie z prezesem Banku Światowego w sprawie funduszy na budowę dróg rowerowych we własnej gminie. Towarzyszył mu prezes Przedsiębiorstwa Robót Drogowych Drobud, firmy będącej wykonawcą większości inwestycji drogowych w gminie i powiecie. Panowie bawili się dobrze, co wynika z zamieszczonych w mediach zdjęć. Testowali jakość nawierzchni ścieżek rowerowych w stolicy USA, jeżdżąc po nich na welocypedach. Testy wypadły pomyślnie, natomiast wyniki rozmów nie są znane. W każdym razie jeżeli były pomyślne, mielibyśmy pierwszy w Polsce przypadek finansowania tak prozaicznej inwestycji lokalnej przez tak szacowną instytucję.

▮ W związku ze zbliżającym się karnawałem na Allegro można już kupić przebranie, w którym wyglądać będziesz jak ogromne gówno. Strój Kupa jest nadmuchiwany. Jak zapewnia sprzedający: „W tak gównianym przebraniu poprawisz humor niejednej osobie!". W supercenie kosztuje 549,99 zł. Trochę drogo. Taniej wyjdzie przebrać się za króla papieru toaletowego.

▮ „Opolskie zoo rozstrzygnęło konkurs na imiona dla trzech nowo narodzonych tygrysków. Wpłynęło ponad 1450 zgłoszeń" – przyznał Krzysztof Kazanowski, specjalista ds. hodowlano-dydaktycznych ogrodu. Zwierzęta wabić się będą Odraj, Odris i Odrus. Nas jednak bardziej zastanawia, co to są te sprawy hodowlano-dydaktyczne, którymi zajmuje się wspomniany główny specjalista.

▮ Rafał Strzymski, wędkarz z Nowego Miasta Lubawskiego, złowił mierzącego 130 cm szczupaka. Tym samym wyrównał liczący 53 lata rekord Polski. Poprzedni taaaaaaki szczupak został złowiony przez Mariana Polawczyka w 1970 r. Rekordowy szczupak miał 130 cm i ważył 20,8 kg. Został zjedzony. Ten obecnie rekordowy – nie. Wypuszczono go z powrotem do wody. Jest zatem nadzieja, że na pobicie rekordu Polski czekać będziemy krócej niż pół wieku.

▮ Na światowych giełdach surowcem, który najbardziej zdrożał w minionym roku, było kakao. Jego cena wzrosła o 44 proc. Wynosi 3800 dol. za tonę. Jest najwyższa od 44 lat. Oznacza to oczywiście, że zdrożeje czekolada. Winnymi podwyżki są Chińczycy, którzy do tej pory w ogóle nie jedli czekolady, a teraz zaczęli jeść i kupować ziarno kakaowe. Jest ich tam 1,4 mld.

R.J.

PS Informacje pochodzą z prasy prowincjonalnej całej Polski. Należy unikać wyciągania z nich wniosków generalnych, a także prawnych, ponieważ dziennikarze zarabiają mało i nie stać ich na rzetelną robotę.

eprasa.pl 2147609d46

Gwiazda dziadowskiej opozycji

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Gremia Białoruskich przeciwników Łukaszenki coraz bardziej przypominają cyrk, z niewyjaśnionych przyczyn finansowany przez rządy państw europejskich.

Ostatnio najgłośniejszym wydarzeniem na białoruskiej opozycji była kompromitacja jej prominentnej przedstawicielki, niejakiej Olgi Kowalkowej. Urodzona w 1984 r. w Mińsku Kowalkowa przez lata była szeregową urzędniczką w stołecznym ratuszu. W 2011 r. postanowiła jednak zaangażować się politycznie i przystąpiła do partii Białoruska Chrześcijańska Demokracja.

Partie opozycyjne na Białorusi mają dość rachityczne struktury i zerowy wpływ na życie polityczne. Przypominają bardziej kółka dyskusyjne, a nie stronnictwa polityczne z prawdziwego zdarzenia. Białoruska chadecja skupia ludzi o poglądach skrajnie nacjonalistycznych, rusofobicznych i wstecznych. Jednym z istotnych punktów programu BChD było zaostrzenie prawa do aborcji (obecnie dostępnej na Białorusi na żądanie): kobieta po podjęciu decyzji musiałaby odczekać kilka dni, podczas których księża i ich prawosławni odpowiednicy mieliby przeprowadzić z nią rozmowy umoralniające, odwodzące ją od wykonania zabiegu. Przewodniczący partii żalił się ponadto na łamach Radia Swoboda (sekcja Radia Wolna Europa na terenie byłego ZSRR), że Zachód przywiązuje wagę do praw osób LGBT i nie potrafi zrozumieć, że homoseksualizm to ciężki grzech, który należy zwalczać. Poza tym BChD pragnie wyrugować z przestrzeni publicznej język rosyjski i zastąpić go białoruskim – dziś traktowanym jako folklorystyczna gwara, którą posługuje się na co dzień 3,9 proc. Białorusinów.

Ciemnogrodzianka w radzie

W 2017 r. Olga Kowalkowa awansowała na współprzewodniczącą tej ciemnogrodzkiej partii i wzięła udział w wyborach parlamentarnych, zdobywając oszałamiające 3 proc. głosów. Nie zraziło jej to jednak i w 2020 r. postanowiła ubiegać się o prezydenturę. Tzw. media opozycyjne na Białorusi oceniały szansę jej zwycięstwa na 0,25–0,37 proc., ale Kowalkowa nie zdołała nawet uzbierać podpisów.

17 sierpnia 2020 r. Olga Kowalkowa została członkiem gremium o wzniosłej nazwie Rada Koordynacyjna ds. Przekazania Władzy na Białorusi. Wprawdzie władzy na Białorusi nikt nie chce przekazywać, ale to drobny szczegół. Rada rzekomo funkcjonuje do dziś, lecz jej członkowie rozpierzchli się po krajach UE – głównie Polsce i Litwie – i słuch o ich działalności zaginął. Łaknący rzekomo opozycyjnej krwi Aleksander Łukaszenka pozwolił Kowalkowej wyjechać do Polski zwykłym rejsowym autobusem. Opozycjonistka, choć niepozorna, była zbyt ambitna i próżna, żeby ograniczyć swą działalność do wystąpień na niszowych seminariach poświęconych demokratyzacji Białorusi. Zresztą temat wyszedł już z mody, więc zaproszeń było coraz mniej. Kowalkowa postanowiła wystartować w kolejnych wyborach prezydenckich, lecz nikt nie chciał zasponsorować jej kampanii wyborczej. Wówczas do opozycjonistki zgłosiła się kobieta podająca się za przedstawicielkę rosyjskiego oligarchy gotowego zasponsorować jej karierę polityczną w zamian za przekazanie rzekomemu oligarsze białoruskich zakładów petrochemicznych po ewentualnym objęciu władzy.

Turystka kampanijna

Podająca się za europejską demokratkę, zaciekle walczącą z rusyfikacją Białorusi, Kowalkowa nie miała najmniejszych oporów i za 510 200 euro zdecydowała się sprzedać swe „ideały". Podającą się za przedstawicielkę oligarchy była dziennikarka państwowej telewizji Białoruś 1. Mimo dość tandetnej charakteryzacji Kowalkowa łyknęła haczyk. Wyznała, że opozycja jest podzielona i nie ma żadnych nowych pomysłów, co skutkuje spadkiem poparcia zarówno wśród społeczeństwa, jak i diaspory. Sama Kowalkowa przyznała, że mimo iż pełni funkcję powierniczki Swietłany Cichanouskiej, nie jest prywatnie związana z liderką opozycji. Drugiego najbardziej znanego opozycjonistę Pawła Łatuszkę uznała za konfliktowego i rozbijającego działalność opozycji. Na pytanie dziennikarki, czy w białoruskiej opozycji jest choć jedna wartościowa osoba, Kowalkowa wskazała tylko szerzej nieznanego działacza.

Po udupieniu reszty opozycji Kowalkowa zajęła się wyceną swej kampanii. Okazało się, że aby wygrać wybory na Białorusi, trzeba pojechać na wycieczkę do Stanów Zjednoczonych o wartości 20 tys. euro, a także m.in. na Ukrainę, do Szwajcarii i Włoch. Kowalkowa uznała wszakże, że „same wycieczki nie dadzą rezultatów", wobec czego oligarcha musi koniecznie sfinansować m.in. kieszonkowe dla jej dzieci. Opozycjonistka, gdy tylko zwęszyła ruble, zaczęła perfekcyjnym rosyjskim (choć jej partia deklarowała chęć wyrugowania tego języka i zastąpienia go – niemal wymarłym – białoruskim) wycofywać się ze swych rusofobicznych poglądów, deklarując, że nie jest Rosji przeciwna, a chciałaby jedynie nieco uniezależnić Mińsk od Moskwy. Oczywiście złodziejska prywatyzacja państwowej rafinerii, której beneficjentem byłby rosyjski oligarcha, wpisuje się w tę strategię. Pecunia non olet.

Opozycja smaży kotlety

W Prezydium Rady Koordynacyjnej zasiada siedem osób. Literacka noblistka Swietłana Aleksijewicz, dwóch prawników: Maksim Znak (w więzieniu) i Lilija Ułasawa, skłócony z Łukaszenką były minister kultury w jego rządzie Paweł Łatuszka, nauczycielka gry na flecie z mińskiego gimnazjum Maria Kalesnikowa (w więzieniu), robotnik z Mińskiej Fabryki Traktorów Siergiej Dyleuski, który namówił kolegów z zakładu do zakrzyczenia Łukaszenki podczas wiecu, nieszczęsna Olga Kowalkowa oraz przewodnicząca tego gremium – niepracująca gospodyni domowa, kandydatka w ostatnich wyborach prezydenckich, która zasłynęła stwierdzeniem, że natychmiast po wyborach chciałaby oddać władzę i wrócić do kuchni smażyć kotlety – Swietłana Cichanouska.

W ciągu trzech lat suto finansowani unijnymi i amerykańskimi pieniędzmi opozycjoniści nie potrafili wypracować wspólnego programu politycznego i gospodarczego czy zorganizować czegoś na kształt gabinetu cieni. Jednym słowem: nie są w stanie zaproponować innego wyboru wobec znienawidzonego reżimu.

Prezydent Białorusi winien zatem wypuścić z więzień wszystkich opozycjonistów, a każdemu wręczyć order i bukiet kwiatów, bo tak dziadowska opozycja jest jednym z fundamentów długowieczności jego prezydentury.

Opisana wyżej historia wydarzyła się ponad dwa miesiące temu. Uderzyła w samo jądro białoruskiej opozycji i była ciosem dla jej najwyższego organu – Prezydium Rady Koordynacyjnej – mimo to polskie media, tak szczegółowo relacjonujące białoruskie protesty latem 2020 r., nie zająknęły się o sprawie. Jedyną publikację na ten temat zamieścił niszowy Ośrodek Studiów Wschodnich. Wszakże zamiast skupić się na meritum sprawy, eksperci OSW biadolili nad stronniczością przekazu białoruskiej telewizji.

MAREK SANOWSKI

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

„Washington Post" pisze, co europejscy oficjele sądzą o sytuacji na Ukrainie: „»Sytuacja jest raczej zła. […] Putin traktuje cię poważnie, jeśli masz poważne karty przetargowe. Gdybyśmy teraz musieli zasiąść do stołu, nie mielibyśmy takich kart. Wygląda więc na to, że Putin ma przewagę, dlatego niechętnie sygnalizuje gotowość do rozmów« – mówi anonimowo jeden z europejskich urzędników. […] Niektórzy dyplomaci i urzędnicy obawiają się, że zamrożenie konfliktu da Rosji czas na odbudowę sił zbrojnych i ponowne uderzenie w ciągu kilku lat. Z drugiej strony poczucie strachu i oburzenia, które kierowało Unią Europejską przez pierwsze półtora roku wojny, zdaje się zanikać". Zanika równie szybko jak zachodnia amunicja, której – według najnowszych danych – UE i USA razem wzięte produkują mniej niż Rosja.

Były pułkownik rosyjskiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa, dowódca donieckich separatystów obwiniany o zestrzelenie malezyjskiego samolotu Igor Girkin ps. Striełkow zadeklarował chęć startu w przyszłorocznych rosyjskich wyborach prezydenckich. Kampanię wyborczą Girkina może utrudniać fakt, iż obecnie przebywa on w areszcie za krytykę opieszałości rosyjskich wojsk na froncie ukraińskim (oficjalnie: za nawoływanie do ekstremizmu). Na razie współprzewodniczący Rosyjskiego Ruchu na rzecz Striełkowa Oleg Nelzin odczytał list Girkina z więzienia nawołujący zwolenników do sformowania sztabu i zbierania podpisów pod jego kandydaturą.

Redaktor naczelny „Do Rzeczy" Paweł Lisicki dostrzegł radykalną zmianę narracji głównego nurtu ws. Ukrainy i w artykule „Specjaliści od zdobycia Krymu" postanowił przypomnieć, co polskie media pisały w pierwszych miesiącach wojny: „Po pierwsze, z propagandy miało wynikać, że Ukraina lada moment zmiażdży bezsilną i głupio zarządzaną kacapię. Rosjanie nie umieli walczyć, szerzyła się w ich szeregach powszechna dezercja, rakiety nie latały, czołgi rozpadały się same, a najlepsza broń pochodziła z przerobionych lodówek lub kosiarek. W armii szerzyła się demoralizacja, a Putin znajdował się w stanie chronicznej śmierci, umierając raz za razem. Dodatkowo ciągle zaglądał mu w oczy strach przed szykującym się za plecami zamachem wojskowym […]". A najpopularniejszy dowcip głosił wówczas, że kilka lat po śmierci Putin dostał jednodniową przepustkę z piekła i poszedł do moskiewskiego baru. „Krym nasz?" – zapytał barmana. „Nasz" – odrzekł barman. „Kijów nasz?" „Nasz". „Świetnie, a ile płacę?" „100 hrywien". Dziś to nawet nie jest śmieszne.

Przewoźnicy samochodowi zrzeszeni w Komitecie Obrony Przewoźników i Pracodawców Transportu kolejny tydzień protestują na granicy polsko-ukraińskiej, domagając się przywrócenia kontroli ukraińskich przewoźników. Zapowiadają rozszerzenie protestu o kolejne przejścia graniczne w Polsce oraz granicę słowacko-ukraińską. Protest wsparli także rolnicy ze stowarzyszenia Oszukana Wieś. W odpowiedzi zaczęto dewastować TIR-y z polskimi rejestracjami znajdujące się na Ukrainie.

W wydanej niedawno i szeroko komentowanej książce Zbigniewa Parafianowicza „Polska na wojnie" znalazł się ciekawy cytat polskiego dyplomaty: „Trwały przygotowania do obchodów osiemdziesiątej rocznicy rzezi wołyńskiej. Po linii rządowej szły rozmowy o tablicy upamiętniającej chyba szesnastu upowców, którzy zginęli gdzieś w rejonie Rzeszowa. Miały być imiona, nazwiska i napis, że ci upowcy zginęli za wolną Ukrainę. Tylko tyle. Ta tablica była częścią kompromisu historycznego z Kijowem. Miała zostać ustawiona latem. Nie precyzowano terminu. Tymczasem nie zgodziły się na nią władze lokalne. […] Może nie należało się z nimi umawiać w sytuacji, gdy nie mieliśmy pewności, że Rzeszów się zgodzi na tablice? No bo szczerze trzeba przyznać, że pewności nie mieliśmy. W Warszawie inaczej wygląda kwestia stosunku do Ukraińców niż w Rzeszowie czy nawet Krakowie. Nam to się wydawała sprawa do przyjęcia. Te nazwiska to nie były nazwiska zbrodniarzy. Po prostu upowcy, którzy walczyli o swoje państwo". Chyba z cytowanym dyplomatą żyjemy w dwóch różnych Warszawach.

MAREK SANOWSKI
Ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 2147609d46

Sportsmeni z PiS-u

Łatwiej będzie odkleić Julię Przyłębską od Trybunału Konstytucyjnego niż Ryszarda Czarneckiego od polskiego sportu.

Ostateczne przejęcie PKOl przez PiS dokonało się w kwietniu br. Irytowało mnie, że mało kto zauważył ten fakt. Szykowano się do tego długo. To nie była akcja jak z filmu sensacyjnego, w którym złoczyńcy napadają na bank i wszystko rozgrywa się w sekundy. Polski Komitet Olimpijski zawłaszczany był pomaleńku, ale systematycznie. Naprawdę dziwne by było, gdyby na czele grupy pisowców wkraczającej do PKOl nie znalazł się Ryszard Czarnecki.

Ryszard Czarnecki jest człowiekiem cierpliwym. Na stanowisko prezesa polskiego olimpizmu szykował się już w roku 2017, ale zrezygnował tuż przed głosowaniem. Nie bardzo pamiętam, jaka była oficjalna przyczyna tej rezygnacji. Najprawdopodobniej uznał, że nie ma szans na wybór.

Spec od siatkówki

Ten scenariusz powtórzył się zresztą podczas ostatniego walnego zgromadzenia Polskiego Związku Piłki Siatkowej. Czarneckiego przedstawiano jako jednego z głównych kandydatów do prezesowskiego stołka. To nic, że jako wiceprezes związku pobierał wysokie wynagrodzenie, choć obiecał, że działać będzie społecznie, ciągnęła się też za nim sprawa dziwnie rozliczanych kilometrówek za służbowy samochód (ten sam numer wykręcił jako europoseł i po przeprowadzonym śledztwie musiał zwracać 100 tys. euro). Jego argumentem były stojące za nim władze partyjne i pieniądze spółek skarbu państwa. W chwili, w której zorientował się, że stanie przeciw Sebastianowi Świderskiemu, byłemu reprezentantowi Polski, a później wybitnemu trenerowi i działaczowi, który doprowadził ZAKSĘ Kędzierzyn Koźle do wygrania Ligi Mistrzów, mina mu zrzedła: „Czasem trzeba skasować swoje ambicje. Rezygnuję z kandydowania na prezesa PZPS" – napisał na Twitterze (obecnie X).

Na marginesie: wciąż podziwiam Sebastiana Świderskiego, jak znakomicie prowadzi PZPS, jak za męską drużyną seniorów, która od dawna jest w światowej czołówce, pną się w górę panie, a do ligowych drużyn stale napływa zdolna młodzież.

Do Czarneckiego także żywię ciepłe uczucia. Jego niezmącona niczym dążność do wkręcania się do sportu jest wręcz rozczulająca. Uśmiech z pucułowatej twarzy nie znika mu, nawet gdy wygwizduje go publiczność

na sportowych arenach, na których pojawia się zresztą bardzo często i lubi przy tej okazji wręczyć jakiś puchar albo medal. Gdyby mnie tak witali, wolałbym zostać w domu i popatrzeć na zawody w telewizji. Pan Ryszard ma twardszą skórę.

Spec od olimpizmu

O tym, że Ryszard Czarnecki znalazł się w Polskim Komitecie Olimpijskim, dowiedzieliśmy się przypadkowo. Igrzyska w Tokio z racji pandemii wirusa SARS-CoV-2 rozgrywano bez udziału publiczności i zasada ta przestrzegana była bardzo rygorystycznie. Tymczasem podczas zawodów we wspinaczce sportowej telewizja pokazała, jak wśród kilkunastu osób obserwujących rywalizację oklaskuje naszą mistrzynię Aleksandrę Mirosław tęgi jegomość. Oczywiście miał maseczkę na twarzy, ale tej osoby nie da się z nikim pomylić. W kraju podniósł się krzyk: jakim prawem Czarnecki znalazł się w Tokio? PZPS szybko wydał oświadczenie, że nie znajduje się on w siatkarskiej delegacji. Okazało się, że wyjechał do Japonii jako członek jakiejś komisji PKOl. Jakiej? Bijcie mnie, ale nie pamiętam. W każdym razie był to sygnał, że PiS nie pozwoli na to, żeby polski olimpizm pozostał poza jego wpływami, i pierwszy przyczółek już zdobyło.

Całkiem oficjalnie, a nie cichcem, jak lubi Czarnecki, we władzach PKOl znalazł się ówczesny ulubieniec prezesa Kaczyńskiego Tomasz Poręba. Obu tych ludzi łączy umiłowanie sportu. Poręba, zanim zaangażował się w działalność polityczną, pracował jako dziennikarz sportowy w „Gazecie Krakowskiej". Nie spotkaliśmy się, należymy do różnych pokoleń. Przed pisaniem tego tekstu chciałem przeczytać jakieś artykuły Poręby z działu sportowego krakowskiej gazety, ale ich nie znalazłem w internecie. Może źle szukałem? Znów dała znać o sobie różnica pokoleń. Dowiedziałem się tylko, że grał w piłkę nożną w IV lidze, więc i tak jest lepszy ode mnie, bo ja grałem w piłkę ręczną w juniorach Spójni Warszawa, a w seniorach AZS Warszawa już prawie nie grałem.

Całkiem sporo znalazłem publicystyki Tomasza Poręby z dziedziny polityki, bo ona okazała się w końcu jego pasją. Pracował w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, szefował sztabom wyborczym PiS, a wreszcie rozpoczął pracę w znienawidzonym przez siebie Parlamencie Europejskim.

W 2018 r. powołano go na wiceprezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego ds. kontaktów międzynarodowych. Został więc jak gdyby szefem Ryszarda Czarneckiego. Przyczółek partyjny w PKOl był już coraz szerszy i głębszy.

Spec od piłki nożnej

Obaj, Czarnecki i Poręba, pojechali na wycieczkę do Kataru oczywiście podczas trwania mistrzostw świata w piłce nożnej. Ponieważ w Parlamencie Europejskim wybuchła afera prędko nazwana Katargate (grupa europosłów pobierała pieniądze za lobbowanie na rzecz Emiratów), Poręba z Czarneckim szybko zastrzegli, że nie mają z tym nic wspólnego. Według nich kontakty z ambasadorem Kataru przy Unii Europejskiej, a także wyjazd na mistrzostwa świata „są charakterystyczne w pracy europosła". W każdym razie belgijscy śledczy prowadzący dochodzenie w ramach Katargate nie przesłuchiwali polskich miłośników sportu, nie postawili im żadnych zarzutów, więc trudno, żeby robił to dziennikarz, który nie ma żadnych dowodów prócz lektury medialnych doniesień.

Tymczasem nad głową Poręby zaczęły zbierać się czarne chmury, które przygnał tekst w serwisie OKO.press. Polityk inwestował nie tylko w luksusowe apartamenty w Chorwacji, ale także w działki na Warmii i Podkarpaciu – podał serwis. Tylko w jednym roku wydał wraz z żoną ponad 2 mln zł na nieruchomości, o ok. 600 tys. zł więcej, niż oficjalnie zarobili. On sam – z żoną lub przez spółkę – w ciągu sześciu lat wydał 3,3 mln zł na trzy luksusowe apartamenty na wyspie Korčula w Chorwacji. Dziś Poręba jest milionerem z majątkiem trudnym do wyobrażenia dla zwykłego Polaka. I zamierza pozwać serwis do sądu. „Dość naruszania prywatności mojej rodziny, latania nad moim domem dronami, szkalowania i podważania uczciwości" – napisał polityk na X.

Jestem już za stary, żeby włóczyć się po sądach, dlatego nie będę drążyć tematu, zauważę tylko, że dotychczasowa działalność obu panów – Poręby i Czarneckiego – łączy się z miłością do sportu i pieniędzy, a także do odbywania egzotycznych podróży na koszt organizacji sportowych. Wracam do głównego tematu.

Spec od obiecanek

Nadszedł kwiecień br. i walny zjazd PKOl, który wybierał prezesa i zarząd na nową kadencję. Początkowo nic nie zapowiadało rewolucji. Urzędujący prezes Andrzej Kraśnicki wyraził zamiar objęcia kolejnej kadencji i wydawało się, że nikt mu w tym nie przeszkodzi. Tymczasem krótko przed walnym zgromadzeniem niespodziewanie zrezygnował z kandydowania dla – jak się wyraził – dobra polskiego olimpizmu.

Prawdziwego powodu tej decyzji zapewne nie poznamy, słyszałem jednak, że poprzedziła ją wizyta w Pałacu Prezydenckim, w której uczestniczyć miała sama głowa państwa. To bardzo prawdopodobne. Kraśnicki był ostatnią przeszkodą do całkowitego przejęcia władzy PiS nad PKOl.

Czy Kraśnickiemu czymś grożono? Nie wiem, nie sądzę, to człowiek bardzo niezależny. Także finansowo; przez lata swojej prezesury nie wziął za nią ani grosza. Na odchodne zaproponowano mu 1 proc. od zawartych podczas urzędowania kontraktów sponsorskich. Uzbierało się coś ok. 1 mln euro. Podniósł się wrzask, że prezes się sprzedał. Kraśnicki odmówił więc przyjęcia premii i zapowiedział, że nigdy jej nie weźmie. Nie słyszałem, żeby złamał obietnicę, bo pisowcy zaraz podnieśliby krzyk.

Przebieg walnego zgromadzenia relacjonowałem krótko po jego zakończeniu na podstawie rozmów ze starszymi znajomymi działaczami, bo dziennikarzy do obrad nie dopuszczono. Z tego, co słyszę, było bardzo ciekawie. Wynik głosowania, jak to w PiS, był z góry znany. Początkowo zaufany człowiek partii Radosław Piesiewicz miał być jedynym kandydatem, wybranym przez aklamację. Zwłaszcza że obiecał deszcz pieniędzy ze spółek skarbu państwa (nie zastrzegał, że nie weźmie za to prowizji). W ostatniej chwili zgłosił chęć objęcia fotela młody prezes Polskiego Związku Sumo Kewin Rozum. Sumo nie jest dyscypliną olimpijską, więc nawet gdyby na pomoc przybyli mu ponadstukilogramowi zapaśnicy, a wszystko odbywałoby się uczciwie, szanse miałby niewielkie.

Ci, co powinni, dostali na swoje smartfony fotografie prawidłowo (oczywiście prawidłowo wg Piesiewicza) wypełnionych kart do głosowania, niektórzy – widząc, w czym przyszło im uczestniczyć – wycofali swoje kandydatury i już wkrótce można było zapraszać dziennikarzy oraz fotoreporterów, żeby przedstawić nowego prezesa oraz zarząd.

Tomasz Poręba znalazł się w prezydium zarządu PKOl, miejsca dla Sebastiana Świderskiego w zarządzie zabrakło. Można powiedzieć, że w pewnym sensie zemsta za wybory do władz siatkarskich została dokonana.

Spec od chuja

Nowego prezesa PKOl Radosława Piesiewicza przedstawiałem na tych łamach dwukrotnie. Po raz pierwszy po mistrzostwach świata w Chinach. Kierował wówczas polską koszykówką i wsławił się niepotrzebnymi konfliktami z zawodnikami, obecnymi i byłymi, w tym z graczem NBA Marcinem Gortatem. Opisywałem też niezręczność, jakiej dopuścił się podczas zawodów w Chinach. Trudno, powtórzę ją, bo jest zabawna.

Po zwycięstwie nad gospodarzami mistrzostw Chińczykami Piesiewicz rozradowany wparował do szatni zawodników ze słowami: „Chuj im w dupę!". Nie mam za złe działaczowi słowa „chuj", znajduje się także w moim słowniku, znam je podobnie jak większość rodaków, ale staram się go nie używać do określania gospodarzy, gdy jestem u kogoś w gościach. Natomiast gospodarze mistrzostw, nieznający języka Mickiewicza, dobrodusznie pokazali przemowę Piesiewicza na swojej stronie internetowej i zdjęli filmik dopiero, gdy ktoś przełożył ją na mandaryński. Nawiasem mówiąc, po ichniemu chuj też pięknie się nazywa: jībā, co zapisuje się mniej więcej tak: 鸡巴.

Odbicie PKOl z rąk PiS i przekazanie go we władanie niezależnym działaczom będzie trudniejsze niż robienie porządków z praworządnością. Julii Przyłębskiej i neosędziów w Krajowej Radzie Sądownictwa może bronić tylko prezydent Andrzej Duda. Natomiast

sport to dziedzina w pełni autonomiczna, trochę jak państwo w państwie. Wkroczenie władz państwowych w kompetencje związków i organizacji sportowych traktowane jest jako poważne naruszenie międzynarodowych zasad.

Sankcje mogą być surowe, łącznie z wykluczeniem z rywalizacji na światowej arenie. Wystarczy przypomnieć sobie, jak polski rząd próbował obalić władzę prezesa PZPN Michała Listkiewicza i wprowadzić na jego miejsce komisarza. Groziło nam, że polscy futboliści kopać będą piłkę na podwórku koło trzepaka, a nie w ligach mistrzów czy pucharach świata.

Jeśli międzynarodowe sankcje wejdą w życie, to co się wówczas stanie z zapowiadanym przez prezydenta Dudę staraniem Warszawy o organizację igrzysk olimpijskich?

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

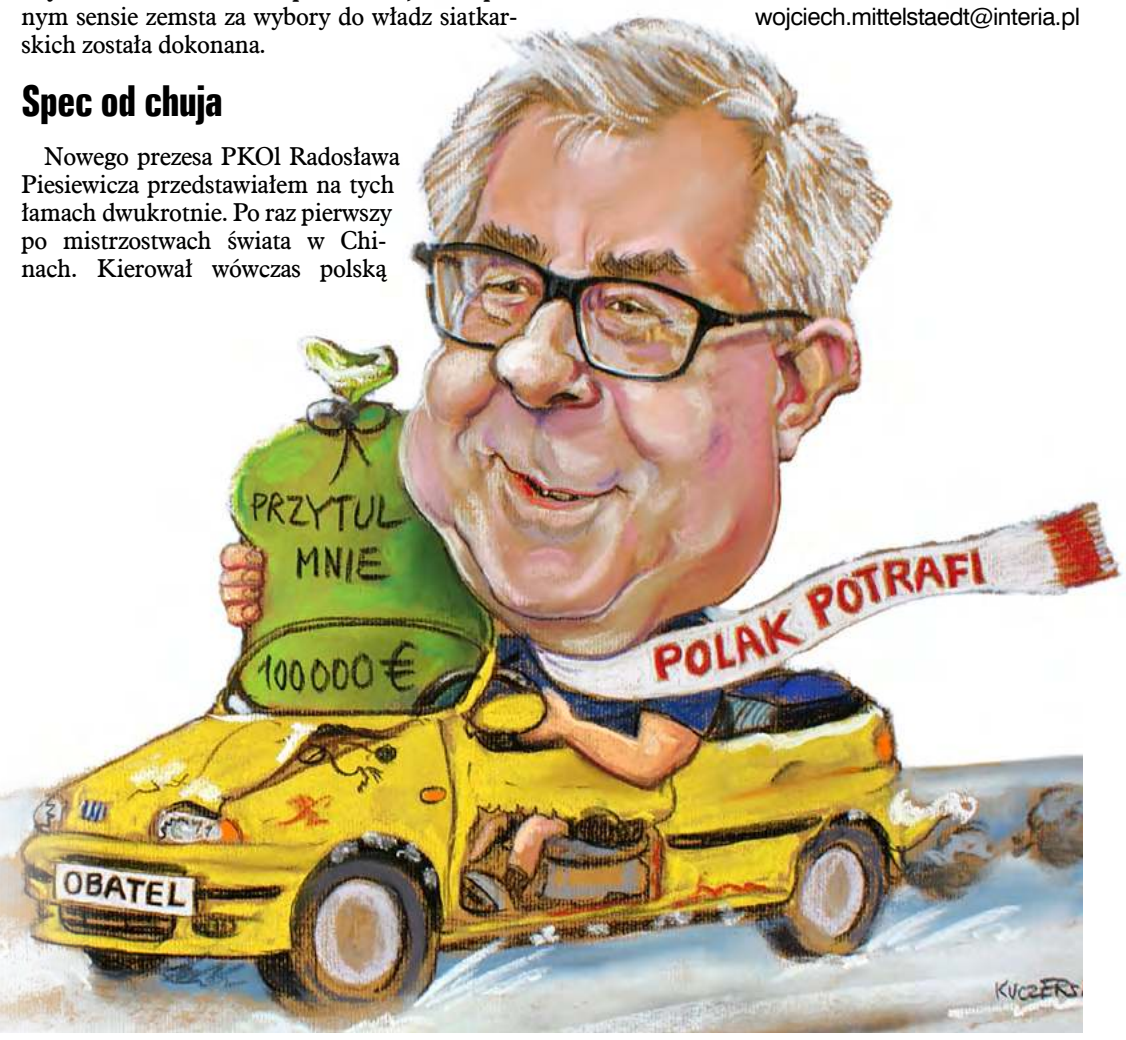

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Agnieszka Wołk-Łaniewska, Marek Sanowski.
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).
WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.
ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.
DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl
Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.
DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl
„Ruch" S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7^{00}– 17^{00}. (koszt połączenia wg taryfy operatora).
prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl
Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00
Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0
Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl
Numer zamknięto: **str. 1–16 – 22.11.2023 r.**

eprasa.pl 2147609d46

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Ubrał się cały na czarno: golf, chinosy, wodoodporna kurtka, adidasy, kominiarka i rękawiczki. Do plecaka włożył łom, komplet wytrychów i na wszelki wypadek glocka z trzema magazynkami.

Włamanie do pałacu to była buła z masłem. Wartownicy spali, a żona i córka lokatora znów się gdzieś wałęsały.

„Gdzie on może być?" – pomyślał włamywacz po niemiecku.

W pierwszej sypialni go nie było, w drugiej, trzeciej, czwartej i piątej też nie. Nie było go w żadnym z trzech salonów ani z siedmiu saloników. Nie było go w holu, sieni, kuchni i spiżarni. Może w którejś łazience?

„Co on robi w toalecie o trzeciej rano?" – pomyślał włamywacz, a potem się domyślił: „Prostata".

„Znów ta prostata" – martwił się lokator pałacu. Miał na sobie piżamę z za dużymi spodniami, a przy sobie Mastalerka. Ostatnio nigdzie się nie ruszał bez Mastalerka.

„Ile razy można sikać w ciągu jednej nocy?" – irytował się w myślach Mastalerek. Posada w pałacu miała być lekka, łatwa i przyjemna, a tymczasem zaczęła przypominać katorgę. W nocy prostata, w dzień coś, co nawet niespecjalistom musiało wyglądać na spektrum autyzmu.

– Dobranoc – powiedział lokator pałacu, którym był prezydent Duda.

– Dobranoc – odpowiedział Mastalerek.

– *Guten Morgen* – powiedział nagle włamywacz, którym był Donald Tusk.

– *Morgen?* – zdziwił się Mastalerek. – Chyba Nacht?

– *Arbeit nacht Frei* – powiedział Duda, który od kilku tygodni uczył się niemieckiego. Właśnie było słychać, z jakim skutkiem.

– *Egal…* – Machnął lewą ręką Tusk, a prawą wyciągnął z plecaka glocka. – *Setzen!* – pokazał lufą dwa fotele z czasów Ludwika XVI. Kopie, oczywiście.

Usiedli: Duda szybko jak błyskawica, Mastalerek z wyraźnym ociąganiem.

– *Schneller!* – ponaglił go Tusk.

– Hitlerowiec – odgryzł się szeptem Mastalerek. – Opcja niemiecka z partii zewnętrznej, *für Deutschland*, *der Lump*.

Tusk puścił obelgi mimo uszu. Zrobił kilka kroków po miękkim dywanie. Odłożył pistolet na biedermeierowskie biurko, też kopia. A potem nagle runął na kolana, złożył ręce i spojrzał na Dudę psim wzrokiem.

– Dlaczego…? – Głos mu się załamał. – Dlaczego nie będę twoim premierem?

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN cieszy się jak dziecko, bo sejm postanowił płacić za in vitro z budżetu, czego domagała się już w swoim projekcie z 2004 r. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** ma mieszane uczucia. Jest za in vitro, bo wkurwia biskupów, ale płacić za to nie chce.

Rys. JANUARY

Wołk-Łaniewska: – Właśnie sobie przypomniałam, że na odcinku ustawy o finansowaniu in vitro z budżetu byłaś pionierem…

Senyszyn: – Pionierką.

– Niech ci będzie, o feminatywy pokłócimy się przy innej okazji. Teraz chcę się kłócić o dzieci. Za dużo ich.

– Przeciwnie, zwijamy się jako społeczeństwo, więc problemu z nadmiarem dzieci nie ma.

– Ja tam go widzę na każdym kroku, jak mi się bachory pod nogami pętają.

– Wcale nie jesteś oryginalna. 30 procent młodych Polek nie chce mieć dzieci, a większość właśnie dlatego, że ich nie lubi. Więc tym, które chcą, a nie mogą, trzeba pomóc. Zwłaszcza że jest coraz gorsza proporcja seniorów do dzieci…

– Jak to „gorsza"? Seniorzy są gorsi od dzieci?

– Ani gorsi, ani lepsi.

– A nieprawda, są lepsi. Lepiej wykształceni, przeczytali więcej książek, płacą za siebie, nie dłubią w nosie przy ludziach, nie wrzeszczą bez powodu…

– Zależy którzy.

– Znowu się prezesa czepiasz.

– Tak mi jakoś samo wychodzi. Wracając: in vitro jest uznaną metodą leczenia niepłodności, a bezpłatne leczenie mamy zagwarantowane w konstytucji. In vitro nie jest finansowane z pieniędzy publicznych tylko dlatego, że Kościół je uważa za niedopuszczalne, bo nasienie jest pozyskiwane przez grzeszną masturbację.

– I jeszcze dlatego, że zarodki się mrozi, a każdy to istota ludzka… No i to są powody, dla których byłabym skłonna je poprzeć. Ale z drugiej strony państwo nie finansuje wielu typów leczenia, kierując się stosunkiem kosztów do efektów. Na przykład Polska funduje leczenie kanałowe wszystkich zębów tylko dzieciom i młodzieży oraz kobietom w ciąży. Innym NFZ płaci za leczenie kanałowe od jedynki do trójki, a resztę zębów proponuje wyrwać. Jedna procedura in vitro to 10–12 tys. zł, jeden kanał – 500 do 1000 zł. Za jedno in vitro, co się udaje raz na trzy, można wyleczyć naście zębów. Za jedno niepewne dziecko dostajesz 10 albo i 20 szczęśliwych, sprawnych, produktywnych obywateli, których przestał napierdalać ząb.

– Trzeba dbać o zęby, a leczenie kanałowe to ostateczność. Jak in vitro. Niepłodność jest chorobą społeczną, na którą cierpi jedna na sześć osób na świecie, a w Polsce dotyczy 1,5 mln par. To jest znacznie szerszy problem. Ludzie, którzy nie mogą mieć dziecka, a bardzo chcą, popadają w stres, depresję, tracą chęć do pracy, do życia.

– Tak samo jak baby z grubą dupą…

– A co tu dupa ma do rzeczy?

– Do rozrodu akurat sporo, ale ja nie o tym. Słyszę ciągle, że in vitro to prawo do szczęścia, bo ludzie, co chcą mieć dzieci, a nie mogą, są nieszczęśliwi. Baby z grubą dupą też bywają nieszczęśliwe. Albo te z małymi cyckami. Czy to znaczy, że w trosce o szczęście obywateli państwo ma fundować liposukcję i implanty?

– Uważasz, że to to samo?

– Kto ma to oceniać? Kto ma moralne prawo do powiedzenia: twoje nieszczęście jest prawdziwe, a twoje gówniane? Baby, które nie mogą mieć dzieci, nie są w stanie pojąć, że można głęboko cierpieć z powodu grubej dupy czy małych cycków? Ich problem. Ja nie jestem w stanie pojąć, jak można cierpieć z powodu niepłodności. Osobiście uznałabym ją za prawdziwy dar natury. A jaka oszczędność na antykoncepcji! Za którą państwo też powinno płacić, nawiasem mówiąc.

– Tu akurat pełna zgoda.

– Mój postulat: aborcja na NFZ, in vitro nie!

– A mój 3 razy TAK: refundowane antykoncepcja, aborcja i in vitro.

– To tobie się chociaż kawałek programu ziści…

– To się dopiero okaże. Teraz cały kłopot spadnie na Joannę Muchę, która kiedyś była ministrą sportu, a teraz ma objąć zdrowie. Bo sport to zdrowie. Kosiniak-Kamysz będzie ministrem obrony narodowej, bo ratuj się, kto w Boga wierzy…

– Raczej „bij, kto w Boga wierzy"…

– Też pasuje.

– Skoro sprawiedliwość jest ślepa, to kto będzie ministrem po Ziobrze?

– Sprawiedliwość jest bezstronna, nie ślepa.

– Rozumiem: „dobry fachowiec, ale bezpartyjny". Wychodzi na to, że Bodnar?

– Jeśli ponownie wyskoczy z głowy Tuska…

– To ryzykowna metafora. Jak pamiętasz, Atena wyskoczyła z głowy Zeusa po tym, jak Hefajstos rozwalił mu łeb toporem. To taka terapia migreny była… Za leczenie migreny też państwo płaci bardzo wybiórczo, nawiasem mówiąc.

– Że nie płaci za walenie, to i lepiej, bo kaczyści by się za bardzo wzbogacili.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
JOANNA SENYSZYN

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 275

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 2147609d46